CENA 20 ZŁ

W numerze: Krystyna Wryczan — „Do niepodległych Gerwazych i Protazych“

CZYTELNIK

Odra tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 41 (150) KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 10 PAŹDZIERNIKA 1948 ROKU ROK IV

KS. BOLESŁAW MAKOWSKI

Pokusy polskie Daniela Chodowieckiego

Przypominając w obszernych wyjątkach rozprawę ks. Bolesława Makowskiego (Rocznik Gdański, t. IV i V), pragniemy dorzucić jeszcze jedno cenne ogniwo do polskiej przeszłości .Gdańska Sprawa Chodowieckiego, któremu piękne opowiadanie poświęcił m. in. Adolf Nowaczyński, długo niepokoiła umysły polskie, zajmujące się zwłaszcza badaniem pogranicza kultur niemieckiej i polskiej. Autor „Pokus“ dorzuca do tych badań cenny materiał dowodowy.

Daniel Chodowiecki (ur. w Gdańsku 1726 r., um. w Berlinie 1801 r.) w malarstwie drugiej połowy XVIII w. jedno z czołowych zajmuje miejsc jako malarz, rytownik i rysownik, jako niezrównany obserwator i ilustrator życia współczesnego. O kwestię narodowości malarza potrącają jego biografowie, także niemieccy, przyznawając polskie pochodzenie, poza tym jednakże reklamując go dla Niemiec. Z polskiej strony niedługo po śmierci Chodowieckiego, bo już od roku 1815, silniej podkreślano, głównie powołując się na znany



Daniel Chodowiecki (ur. 16. 10. 1726 w Gdańsku, zm. 7. 2. 1801 w Berlinie

list malarza do Łęskiego, polskie pochodzenie, nie wychodząc jednakże na ogół poza pojęcie pochodzenia i nie podejmując na serio usiłowań, aby wykazać nasze do niego prawa. Za to ze strony niemieckiej, o ile dawniejsi autorzy omawiali sprawę narodowości bez agresywności w stosunku do polskości, a raczej z pewną przychylnością czy może zakłopotaniem, w ostatnich latach zupełnie już bez zastrzeżeń brano malarza w niemieckie posiadanie.

Od Bartłomieja do Daniela

Pochodzenie malarza ze strony ojca było rdzennie polskie. Polegając na Geneologii domu Chodowieckich, rękopisie polskim, pisanym przez Jana Syreniusza Chodowieckiego, z którego artysta sam sporządził lub polecił sporządzić ekscerpt w języku francuskim — rękopis ten, dotąd nie opublikowany, będący ważnym przyczynkiem do historii, kultury i nauki polskiej w XVII wieku w Wielkopolsce i na Pomorzu, udało się wydobyć w roku 1899 od rodziny Chodowieckich w Berlinie śp. prof. Bołoz-Antoniewiczowi, — artysta wywodził ród swój od Bartłomieja Chodowieckiego, szlachcica z Borowa pod Gnieznem, i żony tegoż Krystyny z Morawskich. Podczas gdy inni ich potomkowie albo pozostali przy wierze ojców, albo do niej powrócili — potomkowie najstarszego syna Wojciecha byli katolikami, a jeden jezuitą — najmłodszy syn Maciej Syrenjusz, urodzony w r. 1583, był ministrem Braci Czeskich w Żychlinie. Tegoż syn Jan Syrenjusz Chodowiecki pełnił funkcję korektora przy drukowaniu biblii polskiej, wydanej przez Andrzeja Huekfelda w Gdańsku, i umarł w roku 1675 jako predykant wyznania reformowanego w Toruniu. Spośród synów tegoż z drugiej żony Elżbiety Rychowskiej wsławił się Jan Syrenjusz, autor wspomnianej genealogii, zostawszy rektorem gimnazjum przy kościele św. Piotra w Gdańsku, następnie rektorem i duszpasterzem gminy polskiej w Lesznie, mianowany w r. 1701 członkiem berlińskiej akademii nauk. Brat jego Chrystian, ożeniony z Zofią Gentinówną, osiadł jako kupiec w Gdańsku; z synów zaś jego Gotfryd, pojąwszy za żonę Marię Henrietę Ayrer, był ojcem malarza Daniela.

„Devotka popolska“

Najbieglej i najchętniej Daniel Chodowiecki używał języka francuskiego, który w rodzinie jego się zadomowił od babki z matki strony, hugenotki z rodziny de Vaillet. Język francuski był potocznym w ojca i później jego własnym domu, językiem wyłącznym też jego pamiętników i przeważnym listów. Poza tym mówił po niemiecku, znał też gwarę ludową „plattdeutsch“. Ojciec jego, Gotfryd Chodowiecki, mówił jeszcze po polsku płynnie, czy nawet, jak sądzi biograf Daniela, wytwornie. Kupcem zbożowym będąc, miał wśród klientów wielu



Aleja gdańska. Rysunek z Chodowieckiego „Podróży gdańskiej“

z lepszych sfer Polaków, którzy, jak głoszą zapiski rodzinne, nie tylko do sklepu, ale i do elegancko urządzonego mieszkania prywatnego zaglądali. Wobec tego wątpić nie można, że i Daniel coś niecoś po polsku umiał; jest prawdopodobnym, że dbał o to sam ojciec, który przeznaczył go przecież do stanu kupieckiego. Przeniósłszy się jednakże jako siedemnastoletni młodzieniec do Berlina, z biegiem czasu to co umiał zapomniał. W każdym razie znajomość języka polskiego w późniejszym życiu jest niewielka. Przy pobycie w Gdańsku w roku 1773 w polskich domach tu i owdzie coś rozumie, trochę się domyśla, sam mówi po niemiecku, czego wynikiem są tytuacje potrosze komiczne, jak przy pożegnaniu starościny Ledóchowskiej, gdzie oboje mówią niejako mimo siebie, nie rozumiejąc się nawzajem. Zdarzają się zrzadka w pamiętnikach i na rycinach wyrażenia polskie, ale także zniekształcone i błędne: np. „bardso dobsze, bardzo podowne“ (! — niewiedzieć co prawda, czy nie zachodzi tu błąd wydawcy czy nawet zecera —), na małej rycinie z r. 1775 jednak czyta się wyraźnie „Devotka popolska (!)“. Chciał się popisać artysta polszczyzną, ale nie całkiem się udało.

Malarz polski i kropka

Umiał więc po polsku Chodowiecki niewiele. Tym bardziej zastanawia, że sam tak silnie oświadcza się Polakiem. Dotychczas z polskiej strony powoływano się tylko na jedno świadectwa Chodowieckiego o sobie, co prawda najmocniejsze. W istocie jest ich więcej, przynajmniej trzy. Mówię: co najmniej, gdyż prócz dziennika gdańskiego, który wydano w całości, inne zapiski Chodowieckiego, bardzo obszerne, tylko w drobnych urywkach (w monografii Oettingena) są opublikowane.

We wspomnianym co dopiero dzienniku z podróży do Gdańska r. 1773[1]) opowiada Chodowiecki, że wojewodzina Przebendowska, która oświadczyła gotowość siedzenia mu do portretu, była „bardzo rada, że znalazła polskiego malarza“ („fort aise de trouver un peintre Polonnois“). Oettingen dorzuca tu nieco złośliwą uwagę, że widocznie ani ona ani inni patrioci (czytaj: polscy), nie brali pod uwagę, że Chodowiecki wszystkiego, co umiał, nauczył się nie w Polsce. Słuszniej jednak byłby mógł irytację swoją przenieść na sameko Chodowieckiego, który do powyższego zdania nic nie dodając, ani wobec wojewodziny nie protestuje, ani w dzienniku takiego pojmowania nie prostuje. Malarz polski i kropka.

Drugie świadectwo Chodowieckiego o jego polskości znajdujemy w liście do hrabiny Chrystyany von Solms z r. 1793, w którym pisze: „Ich gehöre auch einigermassen zu diesen guten Leuten (mowa o francuskich hugenockich refugiées), denn meine Grossmutter mütterlicher Seite war eine refugiée, aber von meinem Vater her bin ich ein Pole, ein Abkömmling einer braven Nation, die bald nicht mehr existieren wird“. („Z ojca jestem Polakiem, potomkiem dzielnego narodu, który wkrótce przestanie istnieć“).

Nareszcie najważniejsze i najsilniejsze przyznanie się do polskości Chodowieckiego mieści się w liście do Józefa Łęskiego, matematyka i astronoma oraz amatora - rytownika, który posłał był malarzowi do Berlina swój portret Kościuszki. List ten w zasadniczej swej treści już w r. 1815 opublikowany przez Bandtkiego następnie zaginął. Odnaleziono go przypadkiem w r. 1889 i jako dokument pierwszorzędnej wagi odbito w reprodukcji fotolitograficznej w Sprawozdaniach Komisji Historii Sztuki wraz z polskim tłumaczeniem i komentarzem Władysława Bartynowskiego, który w nim widzi „doniosłe świadectwo polskiej narodowości autora“. W liście tym, drugim z rzędu do Łęskiego, z roku 1796, wraz z którym przesyła ponownie najświeższe swoje akwaforty, tłumaczy się Chodowiecki z cierpkich nieco uwag o owym portrecie Kościuszki, uniewinniając je ówczesną chorobą swoją. Następnie pisze:

„Wenn Sie mein Hochwohlgebohrener Herr mich für einen Polen ansehen dessen Eltern sich in Deutschland festgesetzt haben so thun Sie mir Unrecht, denn auf solche art wäre ich kein Pole sondern ein Teutscher, und ich mache mir eine Ehre daraus ein wahrer Pohle zu seyn, obwohl ich mich in Deutschland niedergelassen habe.

Bartholomaeus Chodowiecki war ein Edelmann in Gross Pohlen, seyn 4. Sohn Nahmens Mathaeus von Chrystyna Morawska seiner Frau 1583 gegebohren dieser wurde dissidentischer Prediger in Zychlin und heyrathete Elzbieta Musionowa. Matthaeus zeugte 1610 einen Sohn Joanes ebenfalls Prediger zu Thorn verheyratet mit Elzbieta Rychowska.

Joan zeugte 1655 einen Sohn Nahmens Christian Kaufmann in Dantzig verheyratet mit Zofia von Gentinowna.

Christian zeugte 1698 einen Sohn Godfried ebenfalls Kaufmann zu Dantzig vehrheiratet mit Henriette Ayrer.

Godfryd zeugte 1726 einen Sohn Daniel dass bin ich der Erste Chodowiecki der Pohlen verliess und sich in Deutschland niederliess. daraus werden Sie ersehen dass ich ein wahrer Pohle bin.

Sie sagen ferner „ich nenne Sie nicht so wunderlich Kodowiki, sondern Hodowieczki. Das ist auch nicht recht, sondern Cho - do - wie - cz - ki. Man nennt mich aber auch Scho-dowie-cki.“.

Jakaż jest waga tych oświadczeń? Przede wszystkim stwierdza w nich autor swe pochodzenie polskie, i to z wielkim naciskiem i z dumą, co przyznaje i biograf niemiecki [2]). Uderza jednak dziwne pojęcie wzgl. uzasadnienie narodowej przynależności malarza: jest prawdziwym Polakiem, ponieważ urodził się w Polsce. Gdyby zaś był urodził się w Niemczech, byłby Niemcem. Osobliwe zapatrywanie, a nawet ze stanowiska autora niekonsekwentne, bo wszak powołuje się celem udowodnienia polskości na swą genealogię polską, wprawdzie dochodząc znowu do konkluzji, że wszyscy mieszkali w Polsce, on zaś dopiero, w niej się urodziwszy ją opuścił. Są to mętne niewątpliwie zapatrywania, na których uniewinnienie przypomnieć trzeba, że dopiero wiek XIX wypielęgnował pojęcie i uczucie narodowe, Chodowiecki zaś był w wieku filozofów i encyklopedystów francuskich (Rouseau, Voltaire, Diderot), w wieku, który się napawał hasłami równości i braterstwa ludzi i ludów. Tylko w Polsce pod wpływem zbliżającej się katastrofy powstała literatura polityczna o gorących akcentach patriotycznych (Konarski, Kołłątaj, Staszic), ale ta na Europę wpływu nie miała i do Chodowieckiego nie dotarła. Nic dziwnego więc, że zwłaszcza na pograniczu dwóch narodowości, dwóch kultur stojący nie umieli sobie radzić z abstrakcją narodowości, a jednak konkretnie wiedzieli, czym są. W tym świetle, w świetle epoki powinniśmy postawić własne słowa Chodowieckiego i wtenczas dopiero ocenimy prawdziwą ich wagę. Uzasadnienie jest mylne i mętne, ani nawet do pojęcia pochodzenia dociągnąć się nie da — wszak absurdem byłoby zaprzeczyć, że człowiek znający antenatów polskich, ale na obcej ziemi urodzony, jest z pochodzenia Polakiem. Ale ponad uzasadnienie bezradne wyrasta mocna wola przynależności, wręcz jaskrawie wyrażona: „Mam sobie za zaszczyt być prawdziwym Polakiem, nie Niemcem, ale Polakiem“ („auf solche Art wäre ich kein Pole, sondern ein Deutscher, ich mache mir aber eine Ehre daraus, ein wahrer Pole zu sein“).

Być może, że było nawet trochę kokieterii w tym podkreśleniu obcej narodowości w przeciwieństwie do niemieckiej, która wówczas w świecie nie wiele miała ceny. Dość wspomnieć, że sam Fryderyk Wielki otaczał się filozofami francuskimi, dla literatury i kultury niemieckiej zaś odczuwał tylko pogardę. Może i tragiczny koniec niepodległości Polski i poprzedzające go pełne chwały ocknienie z letargu (Sejm Wielki, Konstytucja, powstanie Kościuszki) dodały pewnego blasku i nimbu w opinii świata Polakom, w który chętnie Chodowiecki się ubrał. Ale być też może, że właśnie te tragiczne wypadki drzemiące dawniej uczucie polski napięły, że tak silny mu w liście do Łęskiego daje wyraz. Że nie tylko do Polaka tak mówił, świadczy list do Chrystyany Solms, a ten właśnie zawiera różnicę pomiędzy pochodzeniem tylko, a poczuciem plemiennym lub narodowym: Poniekąd bowiem, jak sam się wyraża, należy do owych hugenotów francuskich przez matkę wzgl. babkę, ale od ojca jest Polakiem.

Zauważyć jeszcze trzeba, że Chodowiecki w usposobieniu swoim bynajmniej nie jest entuzjastą, który łatwo się unosi, i nie liczy ze słowami, lecz raczej mieszczańsko - pedanteryjnym, a przy tym (jak świadczy m. in. je-

(Dokończenie na str. 3)

1) Rysunki z fragmentami tekstu wydał osobno Oettingen, Von Berlin nach Danzig, Berlin 1895. Cały tekst w tłumaczeniu niemieckim opublikował (w r. 1919) Willibald Franke, Por. X. B. Makowski, Daniela Chodowieckiego dziennik gdański, miesięcznik „Straż nad Wisłą“. Warszawa 1921, zeszyt 4—5.

2) „gelegentlich mit Stolz auf seine polnische Abstammung hinwies.“ Oettingen, Daniel Codowiecki, Berlin 1895, str. 6.

IRENA OSTROWSKA

Ludzie z Gdańska

Reprodukcje za książką Mariana Pelczara „Polski Gdańsk“, Gdańsk 1947.

Gdańsk pachniał kawą, pieprzem, ciastami, — pachniał bogactwem towarów i dobrobytem. Wielopiętrowe magazyny, zasobne witryny, kawiarnie, stare sklepy jubilerskie, antykwariaty, w suterynach składy warzywne, do których się schodziło stromymi schodami, dzwonienie bezustannie się



Spacer podmiejski w Gdańsku. Obraz olejny Andrzeja Stecha (1636 — 1697)

mijających tramwajów, ruch wielkomiejski — takim był Gdańsk w zwykły dzień. Dopiero gdy padał deszcz, wypływały kontury brzydkich pruskich kamienic, ujawniała się szpetota starych ulic i murów.

Inaczej było trochę dalej, nad Motławą. Rzędem stały nad samą wodą wysokie spiczaste, czarnym belkowaniem pokratkowane spichrze, statki, barki i łodzie wypełniały gęsto wodną przestrzeń między mostami, nad nimi zwieszał się na kowanym łańcuchu hak starego żórawia — żórawia tak



Gdański miotlarz-przekupień z w. XVIII (sztych M. Deischa z r. 1763)

dobrze znanego z najdawniejszych rycin... Powietrze przesycał zapach dziegciu, ryb i niedalekiego morza, statki gwizdami sygnalizowały swoje ruchy, barki smołowane ciężko sunęły z polskim zbożem i drzewem, a na kamiennym bulwarze rybacy w spełzłych bluzach pykali z fajeczek, rybaczki jazgotliwie, twardo odkrzykiwały i zanurzały po łokcie czerwone, nabrzmiałe ręce w koszach zielonawo-srebrnych ryb.

A jeszcze inaczej było wokół wielkiego, głuchego kościoła Najświętszej Panny Marii. Promieniście zbiegały do niego wąskie uliczki, stare gdańskie domy opierały się o jezdnię zdobnymi „beiszlagami“[1]), wśród złoconych girland wykrzywiały się maszkarony, bogini na szczycie domu ważyła w ręku szale handlu, — w czas deszczu u dołu rynien lwie paszczęki bulgotały wodą, cierpko pachniało drzewo ujęte w cementową ramę.

Na wyrównanym, piaszczystym placu, który mijam, ciągnęły się przed paru laty długie bloki domów. Zatrzymałem się na miejscu, w którym stał dom pani Anastazji.

Gdy się dzwoniło u szklanych drzwi wejściowych, słyszało się w głębi mieszkania jej niecierpliwy głos: „na geh doch mal aufmachen!“ — w końcu najczęściej otwierała sama i krzyczała załamując ręce z zdziwieniem „niee luudzie! Eej! i to Eej, przechodziło w śmiech z samej siebie i z radości, że goście przybyli. Bo gości lubiła p. Anastazja nade wszystko — stale ktoś u niej na dłuższe rezydował, czy to z jej, czy też z jej męża krewności, drzwi poprostu nie przymykały się za różnymi odwiedzającymi.

Pani Anastazja ciemno się nosiła, trochę niemodnie i prosto, kapelusz nakładała głęboko na czoło, a włosy upinała w wielki kok z tyłu głowy, — wyglądała tak, jak wiele innych gdańskich mieszczanek. Bardzo lubiła chodzić na jabłecznik ze śmietaną do którejś z. popularniejszych kawiarni — była to tradycyjna gdańska namiętność.

Niełanie mówiła po polsku, błędnie i prosto — tak jak się kiedyś mówiło na wsi pomorskiej z której pochodziła. Śmiesznie przekręcała nowo poznane literackie wyrażenia. Swych dzieci nie nauczyła polskiej mowy, jakoś jej tak wyrosły i nie zdążyła. Mąż jej był urzędnikiem magistrackim, więc musieli dzieci posyłać do niemieckiej szkoły. Z latami najstarszy z jej synów wstąpił ochotniczo do niemieckiego wojska, a młodszy do Hitlerjugend. Ten ostatni powiedział mi któregoś dnia: „Es muss doch mal anders werden“. Nie było to wcale oryginalne zdanie — słyszało się je często z różnych ust i w różnych miejscach. Bo nastał właśnie czas, w którym Gdańszczanie znienawidzili swój leniwy, spokojny dobrobyt, w którym doszli do przekonania, że bez połączenia się z Reichem nie ma już dla nich życia. Minął okres słabych oporów przeciw hitleryzmowi, propaganda przekonywała coraz to więcej ludzi. Kiedy w 1939 r. przyszła chwila „oswobodzenia“, to pomijając grupę Polonii o głębokiej świadomości narodowej, wszystkich gdańszczan ogarnął nastrój entuzjastyczny. Niewyżyci w manifestacjach i uroczystościach patriotycznych mieszczanie, skandowali z głębi duszy: „Ein Volk, ein Reich, ein Fuehrer!“, najbardziej apolityczny obywatel leciał z aparatem fotograficznym w ręku by utrwalić historyczną chwilę i wciągał na maszt przed swoim domostwem czerwoną flagę ze swastyką.

Jak się zachowywała p. Anastazja z rodziną w tych dniach, tego nie wiem. Przypuszczam, że p. Anastazja klęczała w kościele i modliła się o to, by plotki o walce Hitlera z katolicyzmem okazały się nieprawdą, starszy jej syn wkraczał jako zwycięzca w mury miasta, a młodszy powiewał chorągiewką na jego cześć.



Gdańskie dziewczęta służebne (drzeworyt Ant. Möllera z r. 1601)

Potem w latach wojny, stykałam się z p. Anastazją dosyć często. Jeździła z paczkami do Stutthofu w którym umierali jej znajomi i krewni Polacy, wysyłała paczki dla rodzin tychże w Gubernii. Wysyłała paczki nawet swemu dawnemu dentyście — okrężną drogą do getta. Zwierzyła mi się z tego na ucho i zaraz się usprawiedliwiła: przecież to też człowiek ten Silberschmidt...

Któregoś czwartku (bo w czwartki jedynie można było oddawać paczki dla więźniów) spotkałam przypadkowo panią Anastazję w poczekalni więzienia na Schiestange. Kręciła się, gestykulowała — na tle milczących o niespokojnych twarzach kobiet, wydawała się nieprawdopodobnie beztroska i energiczna — jakaś nie na miejscu była w tej przepełnionej, ponurej poczekalni. A kiedy strażnik, który wyszedł z drzwi kancelarii, krótko i stanowczo zapowiedział, że od dziś przyjmowanie paczek dla więźniów wstrzymane, wyjątków się nie robi, reklamacji się nie uwzględnia, to nie zrezygnowała jak inne, lecz usiłowała siłą wepchnąć mu swą pokaźną w rozmiarach paczkę do rąk. Rozdrażniony wachman krzyczał coraz głośniej, wreszcie zagroził, że jeśli będzie nachalna to ją zamknie, a w ogóle — lepiej by dla niej było, gdyby się nie pchała między to polskie bydło! Poczekałam na nią na korytarzu. Wyszła w przekrzywionym kapeluszu i groźnie wymachiwała paczką: „ten czarny pies — der schwarze Hund! Ja mu jeszcze pokażę!“ Nie mogła się uspokoić — żeby to był jaki Niemiec, ale przecież zna go z widzenia, pochodzi z katolickiej rodziny! Dla pani Anastazji katolik nie był Niemcem — Niemcem natomiast był każdy protestant. Mówiła na nic nie zważając po polsku, nie czując nawet, że ją ciągnę za rękaw, aby umilkła.

W trzecim roku wojny zginął na wschodnim froncie jej najstarszy syn. Pozornie nic się w niej nie zmieniło po tej stracie, słuchała jedynie jeszcze częściej Mszy św., żywotność i humor zachowała. W tym okresie nie kryła się już przed znajomymi ze zdaniem, że ten „malerpinzel“ wykończy nas wszystkich. To przeświadczenie wpoił jej może młodszy syn, który wracał z frontu na krótkie urlopy coraz to bardziej zrezygnowany.

Prędko się rozwiał niemiecki patriotyzm Gdańszczan. Byli oczywiście wśród nich i fanatyczni wyznawcy Hitlera do samego jego końca, lecz większość gdańską ogarniał coraz to bardziej dokuczliwy strach o przyszłość. Zaczęła ona gromadzić dowody mogące w przyszłości świadczyć o lojalności wobec Polski i Polaków, a co najmniej dowody niewinności jeśli chodzi o przestępstwa wojenne.

Pani Anastazji to nie dotyczyło. Żyła ona w jakimś niezrozumie-



Kwiaciarka uliczna w Gdańsku w w. XVIII (sztych Deischa z r. 1763)

niu tego co się wokoło niej działo. Przeczytała nam na przykład starą przepowiednię z XVII wieku o tym, że „wielkie miasto nad zatoką gdańską zamieni się w gruzy przy końcu wojny, które ogarnie cały świat“. To Gdynia — wytłumaczyła nam p. Anastazja — za wiele w niej było rozpusty i ludzkich grzeszności. Do dziś dnia widzę okropnie zdumioną twarz p. Anastazji, gdyśmy jej powiedzieli, że to pewnie Gdańsk — za to, że poszedł za Hitlerem. Dla niej gdańszczanie byli dobrymi, spokojnymi, niesłusznie przez wojnę cierpiącymi ludźmi...

Gdy front ze wschodu zbliżał się coraz to bardziej, Niemcy wywozili wszystkich chłopców w głąb Reichu — aby uchronić „przyszłość narodu“. Wzbraniającym się oddać swoje dzieci groziły najsroższe kary.

Pewnej nocy przebudziło nas jakby jakieś pukanie, skoro się jednak nie powtórzyło, ułożyliśmy się z powrotem na pościeli. Dopiero o 5-tej nad ranem, gdyśmy wstawali do pracy, ktoś nieśmiało zastukał do drzwi naszego baraku. Był to najmłodszy syn pani Anastazji, 16-letni Zygfryd. Uciekł gdzieś pod Ustką z transportu chłopców i nocami przekradł się do nas. Matka mu tak kazała zrobić. Odtąd wieczorami, po powrocie z pracy, zastawaliśmy tego milczącego, bladego od stałego przebywania w mieszkaniu chłopca, siedzącego w kącie pokoju nad książką. Prosił niekiedy o wskazówki — uczył się polskiego alfabetu i słówek. Mieliśmy jeszcze wtedy pianino, jakoś się nam udało je zachować. Zygfryd grał na nim pięknie. Okazało się wówczas, że zna on na pamięć wszystkie nasze polskie pieśni kościelne. Mowę polską zaledwie rozumiał. Graliśmy z nim często na cztery ręce Mozarta. „Eine kleine Nachtmusik“. Kanciaste, chłopięce ręce Zygfryda,

(Dokończenie na str. 2)

1) rodzaj tarasów.

Rzadko docierają do rąk naszych pisma i wydawnictwa niemieckiej emigracji. A przecież ludzie, którzy dotąd nie zdecydowali się na powrót do Niemiec, muszą mieć jakiś szczególnie ciekawy do nich stosunek. Jeden z nielicznych numerów nowojorskiego „Aufbau", datowany 16 lipca 1948, jaki znalazł się na moim biurku, zawiera artykuł, którego w żadnym wypadku nie wolno nam przeoczyć. Tytuł artykułu: Neue deutsche Irredenta „Made in Britain". Tytuł niezwykle wymowny, sam zaś artykuł to dokładne omówienie pięciu broszur, które nadano w Getyndze do wielu urzędów amerykańskich i Amerykan.

Broszury nie posiadają wydawcy. Numery 1—3 noszą notatkę „Printing by Göhrmann's of Hannover"; 4 i 5 „Printed by Georg Westermann — Braunschweig". Wszystkie zaopatrzone są w następujący dopisek: Printed as manuscript. For official use only, jak również w cyfry i znaczki literowe, oznaczające zapewne numery akt odpowiednich zezwoleń władz okupacyjnych. Styl broszur zdradza wyraźnie, że są one przekładami z niemieckiego.

A oto ich tytuły:

1. Coal mining in Silesia.
2. Coal mining in Silesia: summary.
3. Silesia — a thoroughly German country.
4. Agriculture,stock-farming, forestry in Silesia.
5. Agriculture stock-farming, forestry in Silesia (maps).

Memoranda, bo taki jest charakter broszur, są niczym innym, jak jedną wielką propagandą rewizjonistyczną, której celem jest odzyskanie Śląska. Oto niektóre cytaty (podaję je w dosłownym brzmieniu, by zachować wartość dokumentu):

„The decision on the fate of the Silesian pit-coal districts will not merely concern a few thousands of square kilometers of land and not only the milliards (sic! Red.) that represent the values of their collieries; much more is at stake: the recovery of Europa, the creation of an atmosphere of good, neighborly cooperation, and the security of peace."

„We want peace . . . and we must and are willing to make sacrifices in order to achieve such a peace. But if . . . no solution is found by which Germany will be enabled to enjoy the advantages of the German pit-coal district . . . then Germany will pine away for chronic lack of coal, and will thus form a constant source of disease within the European organism."

Jest — według autorów — dla Polski rzeczą zupełnie bez znaczenia ew. ponowna utrata Śląska. Uzasadnienie jest co prawda zupełnie bezpodstawne, ale może właśnie przez swój bluffowy charakter obliczone na umysłowość amerykańską: Polska Śląska nie potrzebuje — a dłuższe jego posiadanie będzie dla niej szkodliwe i niebezpieczne.

„Obviously Poland — even without the acquisition of the German coalfields in Silesia — is in a most enviable position. There is not the slightest economic necessity for an increase of Poland's exporting capacity . . . by adding the production of the German districts in Silesia. Such an enormous surplus of coal could scarcely be of advantage to Poland in the long run. It would practically amount to a Polish domination of the Europan coal market. and would consequently, sooner or later be bound to cause dangerous complications."

Żaden czytelnik anglosaski nie może nie zrozumieć, jakim ogromnym szczęściem będzie dla Polski utrata Śląska. Wszystkie te emfatyczne stwierdzania, choć opierające się na nonszalanckiej jedynie argumentacji, według słów sprawozdawcy „Aufbau" mogą przemawiać do mentalności amerykańskiej.

Sporo miejsca zajmuje w broszurach pochwała niemieckiego postępu cywilizacyjnego. zwłaszcza technicznego, na Śląsku. Dochodzi do tego, że anonimowi autorzy żalą się, iż świat pamięta o zsyłkach na roboty, o

Co robią Niemcy?

W strefie brytyjskiej straszy propaganda rewizjonistyczna, która domaga się Śląska dla Niemiec

zgłodniałych karnych robotnikach, zapominając, że równocześnie, a może i dzięki temu osiągnięto bardzo wiele w zakresie postępu technicznego na kopalniach i hutach. Autorzy zdobywają się nawet na taki „obiektywizm", że przyznają, że Polska cierpiała w wojnie... dokładnie w sześciu tygodniach „that unspeakable bitter time for Poland". Ale przyznają to jedynie po to, by tym ostrzej zażądać wiary dla swojego rozumowania. Sprawozdawca „Aufbau" stwierdza, że osiągnięcia niemieckie, przedstawione w broszurach, mogłyby działać pocieszająco, gdyby nie fakt, że podano je wstrętnie i nikczemnie (scheusslich und niederträchtig). Bo oto autorzy szczycą się przede wszystkim osiągnięciami żydowskimi jako niemieckimi, wspominając jako apostołów postępu niemieckiego na Śląsku, m. in. słynnego wrocławskiego botanika Cohna, historyka Heinricha Graetza, bakteriologa i odkrywcy salwarsanu, Paula Ehrlicha, ekonomistę i historyka Eberharda Gotheina, nawet socjalistę i przywódcę robotniczego Lasalle'a. Wszystkich wymienia się — sic! — na dowód, jak niemiecki jest Śląsk („Silesia — a thoroughly German country". str. 16). Nawet o Eminie Paszy z Opola (właściwie nazwisko Emin Schnitzer), znanym podróżniku afrykańskim, nie zapomniano. Najbardziej nikczemną rzeczą zaś — używany wciąż trafnego określenia nowojorskiego sprawozdawcy — jest powoływanie się na zabitego przed wielu laty przez ludzi o podobnej jak autorzy mentalności wrocławskiego komunisty Schottländera, jako na niezbity dowód... niemieckości Śląska. Podobizny wielu wyżej wymienionych znalazły się w broszurze — a jakże — na doskonałych ilustrowanych wkładkach.

Panom autorom — zaznacza słusznie sprawozdawca Adolf F. Leschnitzer — uszło zapewne uwagi, że od czasu żywego udziału Żydów w twórczości i życiu narodu niemieckiego zmieniło się nie mało, że synowie, wnukowie i inni krewni ich poginęli w komorach gazowych i w katowniach obozowych. Taka propaganda — nikczemna i bezwstydna — charakteryzuje najlepiej niemieckie koła rewizjonistyczne i doprowadzić pragnie za wszelką cenę do przewrotu nad Odrą, nawet za cenę powołania się na duchy pomordowanych przez siebie Untermenschów. Nas jednak, jak i sprawozdawcę nowojorskiego, interesuje przede wszystkim, kto udzielił zezwolenia na druk powyższych broszur. „Aufbau" stwierdza prosto: nie ulega wątpliwości, że urzędy brytyjskie udzieliły zezwolenia na druk memorandów. Nadruk: „Printed as manuscript, for official use only" wyjaśnia to przede wszystkim, oficjalny kolportaż także ma tu pewne znaczenie.

Tak to, z pomocą brytyjską, rośnie rewizjonizm niemiecki. Nie możemy nie powtórzyć ostatnich słów sprawozdawcy: Znowu szerzy się w Ameryce zrozumienie dla podjęcia współpracy między Wielką Brytanią, a ogólnoniemieckimi, reakcyjnymi lub nazistowskimi grupami — zrozumienie dla współpracy, która raz już przyniosła nieszczęście Europie i światu. Do słów tych nie wiele trzeba dodawać, chyba tylko przypomnieć, że w parze z taką propagandą rewizjonistyczną idzie silne rozbudzenie wszystkich żywiołów nazistowskich. O rozbudzeniu tym z przerażeniem pisał niedawno Eugen Kogon autor książki o obozach „Państwo SS". Zacytował on m. in. jeden z anonimowych listów, jaki otrzymał. Oto jego treść: „Niemcy nie będą mogły żyć wcześniej, zanim nażarta hołota obozów koncentracyjnych, która nas wysysa i pragnie nami rządzić, nie zostanie osadzona po więzieniach i ukarana w sposób, na który zasłużyła. Przez pyski natkamy w was trocin i pakuły i rzucimy zwierzętom w cyrku!" Es ist das wahre deutsche Programm! — chciałoby się sprofanować cytat z „Fausta", który wobec takich dokumentów nie może już nami wstrząsnąć dostatecznie silnie.

WISZ

KRYSTYNA WRYCZAN

Do niepodległych Gerwazych i Protazych

Paryż, w październiku.

Musset — z właściwą mu wnikliwością psychologiczną — opisuje w sztuce „Lorenzaccio" dramat bohatera, który w walce z tyranem swej ojczyzny spostrzega, że — na skutek ciągłego z nim obcowania — cechy znienawidzonego wroga powoli go przenikają i przeszczepiają się z prześladowcy w prześladowanego.

Zdawna rozpowszechnione jest w kołach polskich przekonanie, że pokonać trzeba historycznego wroga germańskiego przez przyjęcie jego zalet, jego powagi, solidności, ładu, karności, dyscypliny. Respekt dla Niemców — w połączeniu z poczuciem grożącego z ich strony niebezpieczeństwa — charakteryzuje stosunek do nich nie tylko starszej generacji Polaków spod byłego zaboru pruskiego, ale też szerszych kręgów społeczeństwa i m. in. wyraża się np. w uznaniu, jakim się cieszą u nas poznaniacy. Zadawniony ten kompleks nie dociągnął jednak do granicy świadomości, gdzie by się ujawnił — jak przeżywana przez mussetowskiego bohatera tragedia.

Wredny to kompleks. Z niego to m. in. wywodzi swą genezę polski faszyzm (odpowiednik faszyzmu niemieckiego), polskie fanatyczne zacietrzewienie (odpowiednik niemieckiego nacjonalizmu, antysemityzmu itd.), polska niedojrzałość polityczna, równa niemieckiej, i ciasnota horyzontów myśli.

Choć powojenne przeorientowanie polskiej polityki i wyłonienie się demokracji ludowej wykazało żywotność polskiego narodu, który zrozumiał, którędy wiedzie jego droga, tym niemniej opary lat dawnych unoszą się jeszcze nad życiem polskim. I — niejeden obywatel nie zdaje sobie sprawy, że konserwuje w sobie destruktywne zarodki.

Oczywiście — nie trudno rozpoznać w dawnych „grzechach", w niedojrzałości politycznej, w ciasnocie horyzontów myślowych: dziedzictwo staroszlacheckie. Spoczywający jednak na tym podłożu nalot „namaszczenia", ciężki kaliber powagi — są chronologicznie bliższe, a ich wzory graniczą z Polską o miedzę i należą do niemieckiego drobnomieszczaństwa, sprawcy germańskich triumfów i germańskich katastrof.

Nikt nie kwestionuje, że powaga, solidarność, ład i dyscyplina są zaletami i że Niemcy zalety te posiadają. Dlaczego jednak naród ten nie ma przed sobą przyszłości i czego mu brak, aby się stać czymś innym niż był i jest dotąd, tzn. posłusznym narzędziem niszczenia? — Rozpęd ich ma wszystkie cechy mechanizmu, który puszczony w ruch — idzie na oślep.

Rozum jest kardynalną kwalifikacją, decydującą o żywotnej wartości narodu. Kwalifikacji tej Niemcom (w ich średnim przekroju) totalnie brak. Dlatego ich geniusze pozostali samotni i nie nadali kulturze niemieckiej tego zakroju uniwersalistycznego, jaki posiada np. kultura francuska, zachowująca swój prestige — pomimo niepowodzeń politycznych.

Tak więc pogląd, że należy pokonać niemieckie niebezpieczeństwo przez „uczenie się" od nich i przez „dorównanie" im, musimy poddać gruntownej rewizji. Rzadko kiedy zresztą zderzenie podobnego z podobnym daje pomyślne wyniki. Hannibal wiedział, że dla pobicia świetnej konnicy rzymskiej, należy użyć... słoni.

Zamiast niemieckiego wzoru wychowawczego: „ład, karność, dyscyplina" trzeba raczej wysunąć ideał rozumu na pierwszy plan. Cała reszta: karność, dyscyplina itd., to cechy wtórne, które winny wynikać z tego pierwszego zasadniczego principium, rozumu.

Słusznie powiedział Garaudy: „armia prawdziwie niezwyciężona, to armia świadoma"...

Nie chodzi bowiem o to, by — według niemieckiej dyscypliny — stawać „jak jeden mąż", ale o to, by stawać zgodnie tam, gdzie trzeba, kiedy trzeba.

Rozum jest najpewniejszym doradcą w działaniu praktycznym i w dociekaniu intelektualnym. Zaciska pancerz dyscypliny w walce, ale rozluźnia go w używaniu wywalczonych zdobyczy. Toteż kultura racjonalistyczna nie jest klasycznie jednolita i sztywna, lecz — osiągnąwszy w historycznym rozwoju — wysoki stopień dojrzałości, staje się różnorodna, jak nią jest np. kultura we Francji, w tej ojczyźnie racjonalizmu, tak bardzo starej, która jednak powołana jest do poważnych jeszcze, ogólnoludzkich wyczynów dziejowych. Obecna jej polityka bowiem, tak sprzeczna z interesem narodowym, a którą tłumaczy też geograficzne położenie Francji (bliskość Ameryki — zza oceanu), nie jest wykładnikiem narodowych nastrojów. I — Francja nie jest u kresu, jak to chętnie myślą i rozpowszechniają ci, którzy wierzą w jej niemiecką antytezę i na nią stawiają. Należy widzieć nie tę Francję, o której donoszą gazety oficjalnych czynników politycznych, ale Francję od dołu, w jej pracy i zabawie, w jej życiu codziennym, którego apologię dał Henri Lefebvre w książce pt. „Critique de la vie quotidienne".

Mówi się dużo o wpływie francuskim na kulturę polską. Jest to równie przesadzone, jak przesadzone jest niedostrzeganie wpływu niemieckiego na nasze społeczeństwo. Kult dla francuszczyzny jest w Polsce bardzo powierzchowny, reprezentatywny, czasem salonowy. Nie sięgnął korzeniami tak jak wpływ niemiecki — do samego dna codziennego życia, tam, gdzie obraz kulturalny społeczeństwa kształtuje się w swej niezablagowanej prawdzie. Tłumaczy się to przede wszystkim motywami natury historycznej i geograficznej.

Pojęcie o tym, co francuskie, jest w Polsce często bardzo nietrafne, a dla Francji nieraz krzywdzące. Natomiast wpływy niemieckie żłobiły w Polsce silne ślady. Z nich zrodziły się mrzonki o... „polskim Hitlerze", który by Polskę odbudował „od morza", urastające w atmosferze, nacechowanej zamknięciem oczu i uszu na to, co dzieje się na szerokim świecie.

Długo stosunkowo, bo całych lat dwadzieścia (1918 — 1939), wystawione było w Europie to panopticum: neipodległość Gerwazych i Protazych. I ubolewali oni pospołu, że jeszcze nie jest tak, jak u zachodniego sąsiada („jak jeden mąż"), że istnieją partie, że istnieją Żydzi, że istnieje „Żydokomuna", masoneria. Ówczesna Polska seryjnie powtarzała Gerwazego i Protazego, podobnych do siebie (jak dwie krople wody) w kłótni walk partyjnych, nie mniej jak przy kumaniu się. Zasięg bowiem tamtych partyj nie wybiegał poza lokalizm. Zawieszony w próżni, nierzeczywisty i ubogi wachlarz, niby to odmiennych poglądów, nie obejmował nigdy pełnej amplitudy ludzkich wartości. Staroszlachecka — po niemiecku zaprawiona — sztywność jednokierunkowego myślenia, nie mniej sztywne obcowanie towarzyskie („kultura"), nadęte i uroczyste, jak u dawnych wielmożów, pedantyczne i nudne, jak u mniej dawnych urzędników pruskiej administracji („dyscyplina") — to dobrze znane nam cechy ciasnego deptaka, z którego nie spozierało się w szeroki — poza Polską — świat.

Byłoby cudem, gdyby przeszłość ta miała z kretesem zniknąć — po zaledwie kilku latach przeciwdziałania. Polska Ludowa podjęła zadanie reformatorskie, które słusznie zestawia się z reformą z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, wiążącą Polskę pod koniec XVIII wieku z wielkim ruchem humanistycznego uniwersalizmu, promieniującego wówczas z Francji. Rozbiory przerwały tę doniosłą działalność i społeczeństwo polskie zapadło znów w izolujący go od współczesnej kultury stan stagnacji, w jakim — od XVII wieku włącznie, tzn. od czasu triumfu jezuityzmu — trwa prawie bez zmian aż do ostatniej wojny.

Polscy rewolucjoniści musieli uchodzić z kraju i błądzili za granicą. Powstania — oprócz 1846 r. w Krakowie i 1848 r. w Wielkopolsce — przechodziły pod kierownictwo elementów uwstecznionych. Polski pozytywizm nie wysunął się poza próg jezuickiej kapliczki, nie miał rozmachu w skali międzynarodowej, nie miał ani Renana ani Taine'a, ani Littré. Ruch SDKPL (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy), który rozwinął się w końcu XIX w. — wraz z uprzemysłowieniem kraju (Łódź), opóźnionym w porównaniu z Zachodem — nabiera pewnego znaczenia. Po rewolucji 1905 r. jednak społeczeństwo polskie ulega swym chronicznym inklinacjom do agrarnego zastoju.

Na świecie tyle zmian, a polskie Soplicowo pozostaje sobie wierne. Sienkiewiczowska „Trylogia" — zamiast pozostać dziełem literackim — staje się podręcznikiem wychowawczym, budzicielem „ducha narodowego" zaczynem patriotycznej wiary i optymizmu. Niedaleko zaprowadził Polskę ten optymizm. Odwaga prawdy — ta tylko leczy. Toteż odważnie trzeba stwierdzić, że koniecznym — ale niezmiernie trudnym jest zadanie dzisiejszych reformatorów polskich.

Nowoczesna Polska nie jest zabawką na choince, a jej bastion na Odrze jest sprawą pokoju, sprawą o ogólnoludzkim znaczeniu. Dzisiejsze partie polskie, jednolitość ich zagranicznej polityki, ich współtwórcza rywalizacja na wewnątrz — odpowiadają grze sił tej rzeczywistości narodowej, o której marzyli polscy „idealiści" po Żeromskiego włącznie.

Ale ogół społeczeństwa polskiego, po dokonaniu swego „salto vitale", nie jest jeszcze całkowicie zorientowany w doniosłości tego, co się dokonało, a twórczej grze politycznej u góry nie odpowiada równie bogata skala myślenia u podstaw społecznych, bezpośrednio w grze politycznej niezaangażowanych. Jednokierunkowa sztywność świadomości oraz sztywność w codziennym współżyciu charakteryzują Polskę nadal, a styl życia codziennego — w porównaniu z czasami powojennymi — zmienił się zbyt mało.

Na zachodzie łacińskim, do którego lubią się u nas przyznawać niektórzy, niezmiernie dynamicznym jest to, co by nazwać można „szukaniem", oczywiście nie w parcivalowym marzycielskim znaczeniu tego słowa, już przeżytym, lecz jako dramatyczny wysiłek problematyki — w znaczeniu fermentu, zgodnie z naukowym pojęciem dialektyki.

Istnieją tu egzystencjaliści w odmianie ateistycznej i katolickiej, personaliści, anarchiści, trockiści itd. Ale na czoło wszystkich kierunków wysuwa się marksizm-leninizm — jako metoda działania. I zwycięstwo komunizmu jest dla trzeźwo patrzących sprawą w skali historycznej przesądzoną. Realizuje się ono na drodze licznych sojuszów (patrz: dzieła Lelina!) — i każdy wykształcony człowiek, nie tylko ten, który głosował na partię komunistyczną (33 proc. ludności Francji), czuje się zobowiązany, by poznać komunizm: z powagą naukowego podejścia. Kwietniowy program Francuskiej Partii Komunistycznej otwiera — w swych siedemnastu punktach — szerokie możliwości dla wyżej wymienionych sojuszów.

Proletariat robotniczy łączy się z warstwą chłopską i średnim mieszczaństwem. Pozostawiając każdemu wolność filozoficznego

(Dokończenie na str. 3)

TYMOTEUSZ KARPOWICZ — RYS. GUIDO RECK

Nocny połów



Nagle — serce. Bywało tak nieraz.
Niby pożar. Mosiężne płaty.
A tu nic. Nad parkanem gdzie chrzęścił berberys,
lampy wisiały na zapachu kwiatów.

A nade mną mała Kasia, która w nocy się uczy,
z białych skrzypiec wybiera nuty.
Wiatr plisował melodie. Tylko dalej
chodził park i tupały fale.

Trzy dziewczyny rozbite na smugi
spały w sieciach. Zwidzenie — Boje!
I uniosłem noc w górę dłonią jak żaluzje,
bo ciążyła na skraju powiek.

A barometr, powietrzny instrument
miał skręconą od niżu strunę.
Więc wybiegłem w sam środek latarń,
by w promieniach odnaleźć brata.

Jaki nonsens! Połów mu się wymarzył
tuż przed sztormem. Zaleje motor!
uchwyciłem się światła i upadłem twarzą
na łopiany nadziane rosą.

W dole: brzeg i meduzy wyplute.
Pół księżyca jak jedno płuco.
Zimne niebo dyszało z trudem
żłopiąc przybój językiem rudym.

Szybko. Buty gumowe. Wydmy.
Ciężko. Jakbym głowę miał swoją w obcasie.
Lecz w przystani jak w pysku ryby
tkwiła piana i trochę blasku.



Nocny połów — bardzo miły, kiedy jest cisza
i są ryby jak melodie w klawiszach.
Wówczas w osadzie zostają tylko szyby i kobiety,
cztery gwiazdy i dwie rozety.

Grono wczasowiczów łajdaczy się i nudzi w „Morskim Oku"
Siedzi w dymie, myśli — obłoku.
Facet tępo wgryziony w porcję węgorza
dziwi się jak to smacznie stężało morze.

W magazynie spółdzielni: popłoch, papierosy, skrzynie,
bo ktoś księżyc przyholował na linie.
I zagadka: Jak z tego wybrnąć?
Czy go oddać Centrali Rybnej?

Nie śpi także kontroler MUR-u w okopie sprawozdań,
Biedzi się czy miesiąc na nowiu poławiać można.
A tymczasem weseli faceci
Już po zorzę wyruszyli z siecią.

Lecz się księżyc rozpadł na leszcze, zorza na okonie,
Łódź na piasek, rybacy na dłonie.
Mrą wymłócone fale, podbite pianą.
Mrok ostatni — strzęp fortepianu.

Noc jest w mięśniach, podcina uda.
Zapach domu, jak wiatr, jak smoła.
Szumi dzień — drzewo światła, brzemienne w owoce trudu,
a w ogródku — lampy pomidorów.

W łodziach pełnych blasku, jak pieniążki w miseczkach
dzieci — meduzy wchłaniają powietrze
i całują wyłowiony w słońcu
plon czekania — rdzawe twarze ojców.



Ale czasem morze jest wściekłe,
ma kopyta i tłucze o brzeg.
I wyrzuca z trzewi wodorosty, marchew,
uszka nerejd wyrzeźbione w szkle.

Drzewa chodzą po niebie i piaski są żywe.
Skomlą gwiazdy zaszczute, drżą.
Małym płociom wyrastają grzywy,
płaskie leszcze wysadzają dno.

Niech ocali Matka Boska rybaków, zawiniętych w fale
jeśli łódź się otworzy jak muszla.
Niech noc nie wypłynie do źrenic, morze się nie zamknie
jak obrzękłe, zielone usta.

Kupujący, z niebem za uchem, nie zapłacą drożej
za świeżą porcję ryb.
Chociaż w oczach będą miały łzy wdowie,
rąbek zorzy, lub strzępy mgły.

Lecz nie martwcie się, rozdzielajcie party,
śmierć minęła o rumb.
Ci, co szumom oddali swe kształty
są wieczyści jak szum.

Sprawa lęku niech zmaleje jak oczy latarń.
Sztorm pogubi piorunów podkowy.
Choć zaszumi czyjemuś bratu
pusta koncha — skamieniały słowik.



Właśnie morze było nieprzytomne
Na dnie wiatru rosły czarne buki.
Wypełzały granatowe trytony
aby gwiazdkę stężałą uszczknąć.

Z wnętrza nocy wyniesione na molo
dwa księżyce tłukły się łbami.
I trzeszczały ich długie głowy
jak płonące wiązania.

Wówczas Bałtyk przerósł mą wiedzę o morzu
i mój spokój — nikły dźwięk w wiolinie.
I zwątpiłem w modlitwę, więc prosiłem muszlę
by mój brat, za jej sprawą, nie zaginął.

Odezwała się koncha: dobrze żeś uwierzył
w moją siłę, której mi nie dano.
Teraz wzrosnę. Sen zasklepi swą trwogę,
tak jak blizna ranę.

I oto z oczu zorzy wyrósł pień plusku,
więc krzyknąłem. Stał nade mną szyper.
— Twój brat żyje. Przypłynął na muszli.
Schnie jak płatek na skrzydle świtu.

Dziwnów — Szczecin 1948

Ludzie z Gdańska

(Dokończenie ze str. 1)

potrafiły wydobyć cały lekki i subtelny czar mozartowskiej muzyki. Na kilka dni przed rozpoczęciem walki o Gdańsk przeniósł się Zygfryd do matki i ukrywał się odtąd wraz ze swoim starszym bratem, który ranny uciekł z mającego ulec ewakuacji na zachód szpitala. Cała rodzina pani Anastazji zadecydowała pozostać na miejscu. Dworce kolejowe i morskie były przepełnione. Wielkie tłumy gdańszczan w nieładzie uciekały do Niemiec. W mieście pozostało jednak sporo takich jak rodzina pani Anastazji. Czego się spodziewali po przyszłości...?

Spotkałam się z tą rodziną dopiero po zakończeniu działań wojennych. Gdańsk wypalił się cały — pozostały z niego osmalone ruiny i gruzy. Pani Anastazja z rodziną ocalała jedynie przez przypadek. Kiedy w czasie ostrzeliwania miasta nastała chwila ciszy, wyszli oni ze schronu na piętro do mieszkania, aby ugotować i zjeść coś ciepłego. Powrócić już nie mogli, gdyż dom stanął w ogniu. Zaczęło się palić od klatki schodowej. Ogień rozszerzał się coraz bardziej i zdawało się, że już się nie uratują. Wówczas przypomniało się im, iż w mieszkaniu sąsiada znajdują się od lat zabite drzwi do przyległego domu, udało im się te drzwi wyważyć i ujść z życiem. Wszystko co posiadali spłonęło. Nastał dla nich okres naprawdę ciężki. Tułali się od znajomych do krewnych, a że każdy miał w tym okresie dosyć swojej własnej biedy, szli coraz to dalej. Po paru miesiącach, mimo rozpoczętych starań o weryfikację, zdecydowali się na wyjazd do Niemiec. Mąż pani Anastazji prawie zupełnie zaniewidział, synowie nie znali polskiego języka, a spodziewali się, że tam w Niemczech mąż będzie otrzymywał emeryturę, synowie skończą szkoły... Sądzę, że względy narodowościowe nie odegrały w powzięciu tej decyzji żadnej roli. Synowie, młodzi chłopcy, byli biegiem wypadków zupełnie zdezorientowani, mąż od lat przywykł do kierownictwa żony, a pani Anastazja? Pani Anastazja równie łatwo wywieszała ze swego okna hitlerowską chorągiew, jak też i mówiła po polsku w niemieckim urzędzie i to w czasie, w którym za takie przestępstwo można się było znaleźć w obozie koncentracyjnym. Tak jak naturalnym było dla niej pozostanie w Gdańsku i czekanie na Polskę, tak i wyjazd do Niemiec zdał się jej naturalnym wyjściem z ciężkiej sytuacji. Zrozumiałe, że żal im było miasta, z którym się zrośli — Polski napewno nie było im żal. Polska pozostała dla ich serc „wielką nieznaną".

Wędruję po mieście, z którego nie wywietrzała jeszcze spalenizna i wspominam tamten dawny Gdańsk, pachnący kawą i pieprzem. Wspominam ludzi, którzy w tym Gdańsku mieszkali. Odeszli oni, a z pięknego miasta, tak podobnego do drugiego, leżącego u tej samej Wisły — do Krakowa, pozostawili ponure spalenisko. W Krakowie nadal gołębie fruwają, — mewy które w Gdańsku polatywały, odleciały dawno nad morze.

W torebce, którą trzymam w ręku, jest list od pani Anastazji.

„Nie wyobraża sobie Pani — pisze pani Anastazja — jacy ci tutejsi ludzie okropni, po prostu jest niemożliwością żżyć się z nimi. Mówią, że to, że wojna wybuchła, to tylko wasza wina, a w ogóle patrzą na nas z góry, bo jesteśmy ze wschodu. Żeby Pani mogła zobaczyć ich wstrętne gęby! Chodzę teraz codziennie do fryzjera i dentysty — wiem, że to wyrzucanie pieniędzy, ale co robić... — żeby widzieli, że też mamy jakąś kulturę. A tutejsze kościoły! Naprawdę trudno się w nich modlić — są puste i zimne, nawet kwiatów w nich nie stawiają na ołtarzach, nawet mszę inaczej śpiewają, a z naszych pieśni nie znają ani jednej. Mój Boże co byśmy dali aby powrócić do Gdańska. Na kolanach byśmy wracali..."

Pisze pani Anastazja po niemiecku, gotykiem. Kiedy chodziła do szkoły, Bismarck właśnie zakazał na Pomorzu polskiej nauki katechizmu, ostatnia to była nauka, jakiej dotąd wolno się jeszcze było uczyć w polskiej mowie. Ojciec pani Anastazji nie był widocznie z tych ojców, którzy wieczorami uczyli swe dzieci ze starej Biblii, z „Trylogii", polskiego czytania.

W torebce mam też kartkę z pięknie wykaligrafowanymi, polskimi życzeniami — napisał ją do mnie Zygfryd.

Ulicą Długą unosi się w powietrzu kurz i pył ceglany. Robotnicy rozwalają mury, murarze stawiają nowe. Wzrasta ponownie to, co już kiedyś w XV i XVI wieku jakiś gdański mistrz wznosił. Na wolnych, oczyszczonych placach koło dworca powstają nowe domy. — Staje się powoli nowe miasto i stają się nowi Gdańszczanie. Stara rybaczka, która przetrwała nad Motławą i która nie zapomniała wraz z synami ojczystej kaszubskiej mowy, dzieci polskiego pocztowca gdańskiego, który zginął już u startu wojny, ludzie spod Wilna i ludzie zza Bugu, zrastają się w szkole, w kościele, w pracy w nowe polskie społeczeństwo.

Za kilka, kilkanaście lat, będę się przechadzała między tarasami starego miasta tak, jak to niegdyś czyniłam, a jeśli mi nie będzie już danym, to uczyni to za mnie mój syn. I może go tak jak mnie niegdyś, nocą, oczaruje urok starego Gdańska — znowu będzie na tle gwiezdnego nieba kwadratowa wieża Mariacka olbrzymieć, potężnieć, jeszcze smuklejszą będzie się stawała wieżyca Ratusza, a figurki i ząbki attyki. Zbrojowni jak wykute w kamieniu pasmo rycerskiego opowiadania, rysować się będą tak pięknie, tak tajemniczo. Znowu może stanie na cokole przed Artusowym Dworem, król morza Neptun i godzić będzie mroki swoim trójzębem...

Za kilka, kilknaście lat, Zygfryd, syn pani Anastazji, pewnie zapomni już jak się pisze po polsku.

IRENA OSTROWSKA

JERZY BOHDAN RYCHLIŃSKI

Miczman Paganini

My, kolekcjonerzy przygód, jesteśmy o nie potwornie zazdrośni. Temu przypisywałem milczenie Miczmana Paganiniego. Będę go nazywał Miczmanem, bo był nim za czasów naszej wspólnej służby, choć później doszedł do wysokiej szarży. A Paganinim, ze względu na jego kochankę — Muzykę.

Darmo próbowałem mu wytłumaczyć, że przeżyliśmy już wiele przygód i nikogo one nie obchodzą. Teraz przyszła moda na problemy. Mniejsza z tym. W prawdziwej przygodzie kryje się zawsze problem. Życie nie jest tak głupie, jakby się zdawało.

Miczman dostał list z Mewiego Dworu, a ponieważ ostatnio mieszkaliśmy razem i ja wiedziałem od kogo pochodzi, byłem zaintrygowany do tego stopnia, że nie potrafiłem tego ukryć.



Rys. Lucyna Wranik

Rozerwał kopertę, przebiegł haczykowate pismo swymi stalowymi, zmęczonymi oczyma i rzucił mi list przez stół. — Przeczytaj sobie.

Zdążyłem na wstępie rozpoznać: „Griff". Tak zwali Miczmana bliscy przyjaciele. Nic więcej nie wyczytałem, bo mi nerwowo list odebrał.

Zdziwiło mnie, że nie „Drogi Griff", ani „Kochany", tylko suche „Griff".

— Nie — rzucił ze złością. — Ty to znów opiszesz, jakeś już raz nabrechtał o mnie za młodu. Nie ma w tobie za grosz dyskrecji.

— Piszę. Literatura to mój zawód, jak teraz twój muzyka.

Strzepnął swymi długimi palcami wirtuoza z irytacją, z niewypowiedzianą pogardą. Po jego wąskich, zawsze spieczonych wargach przewinął się zgryźliwy uśmiech. Ten grymas, przyschnięcie skóry na skroniach, odcień popiołu w ongi jasnej, dziś przerzedzonej czuprynie, to były jedyne ślady wieku na sylwetce Miczmana. Styl jej się nie zmienił, raczej wysztywniał.

— Tak, tu nazywasz mnie muzykiem, ponieważ na stare lata zostałem drugim skrzypkiem w orkiestrze...

Zaczęła się dyskusja, którą pomijam jako bez związku z podstawowym faktem tej opowieści.

Ostatecznie zapalił i wziął skrzypce do ręki. Raptem wywinął ze strun spiral skrzany, jazgotliwy jak stara buda, zjęty spazmem. Ustalał się nastrój maniacki, bardzo charakterystyczny dla towarzyszy z samotni na „Ostatniej Skale" i podczas Mewiego Dworu. Trzeba było jakoś z tym skończyć. Zaryzykowałem:

— Co z Ingrid?

— Ingrid jest żoną starego Olle.

— Myślałem, że Olle to jej ojciec?

— Mógłby być... dziadkiem. Ale... nie.

Kiedy Miczman grał, rozumiałem go piąte przez dziesiąte. Właśnie ze względu na zrozumiałość gry nazywałem go „Paganini", do którego był zresztą podobny z brzydoty, temperamentu, przekory i wewnętrznej dyscypliny. Zaczął grać na dobre. Płynęła symfonia, w której próbował stosować los naszego, miotanego gorączką tyfoidalną pokolenia. Z początku to było do niczego niepodobne, lecz zaczęło układać się w rytm: długie, połyskliwe, mroczne fale muzyki. W koronkach piany. To, z całą wyrazistością, przybijała wielka fala, wzbijana sztormem. Ale nie przybijała do burty. Nie biła jak w głuchy bęben. Przybijała do twierdzy. Szło dookolne spiżowe echo i uderzało w krzyk. W tubalny krzyk. W zatykający uszy krzyk. W ryk bekowiska fok. W łomot brązowych blach. W lament zrywów wietrznych na żelaznych palach. W szpilkowaty, zgrzytliwy mewi skwir. W szelest zorzy polarnej i eskimoską ciszę.

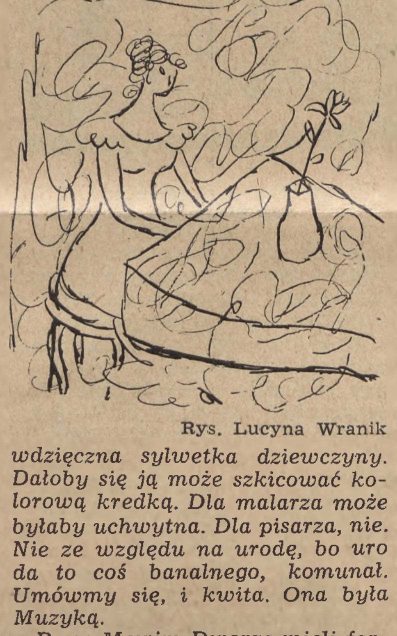
Wał po wale toczył się, ogromniał, napieniał, narastał garbem, grzywą pokwitał, przelewał się, pryskał z piorunowym trzaskiem i tryskał, wlękał w bezdeń i sykowisko.

Spojrzałem bystro na Miczmana. Już wiedziałem, że gra „Ostatnią Skałę". W tym mastywie była mała przystań dla kutrów. Tam z nudów próbowaliśmy strzelać wijące się mewy w ciągu paru godzin słońca. A wędrowało to słońce ociężale, nisko nad horyzontem. Słońce mosiężne i chorobliwie łkające przez grzebienie z butelkowego szkła, przez tryski i welony piany, która wiała z infernalną monotonią w zwierciadlanych zapaści interwały.

Można było wyć, wyć z przeraźliwości, a co to oznacza w koncentracji? Samotne pijaństwo i delirium tremens.

Co mogło nas uchronić przed maligną? Tylko Ingrid. Ale Ingrid była w Mewim Dworze.

Tak nazywaliśmy ten dom, który z tej przyczyny latach niepodobna zapomnieć. Po trzydziestu latach nawet cierpienie się zaciera. Pozostaje tylko urok, albo hańby. Na szczęście Mewi Dwór należał do uroków. Wysoki, wąski, na zdemaskowanym fundamencie domu, który miał klub szalupowy u wystającego poddasza. Kuter podchodził, podnosząc go z rufy i dziobu i jechał w górę na łańcuchach windy, wprawianej w ruch ze strychu przez Starego Olle. Tak wysoko jechał, żeby go nie dosięgła najwyższa fala. Wyskakiwało się na pomost, a już tam była wdzięczna sylwetka. Malowana okrą, grynszpanem, bielą



Rys. Lucyna Wranik

wdzięczna sylwetka dziewczyny. Dałoby się ją może szkicować kolorową kredką. Dla malarza może byłaby uchwytna. Dla pisarza, nie. Nie ze względu na urodę, ale ze względu na to co banalnego, konwencjonalnego. Umówmy się, i kwita. Ona była Muzyką.

Bo w Mewim Dworze mieli fortepian i grała Peer Gynta... Ale skrzypki Miczmana przerwały mi swarliwie. Grały nie Griega, a Taniec Szkieletów Saint-Seansa, zatrzeszczało w uszach od wiru kości, trzaskających w kość. Co go pomyśl przeźlinił mi Ingridę całunem? A ledwie zrobił z tym koniec, spod strun wzionął Requiem Mozarta. Mało podobne do prawdziwego, same wariacje, tak jak u Paganiniego. Tak podobno grał Paganini. Niby to samo, a nie to. [illegible]

Ale trzeba było patrzyć na nią oczyma, mającymi dwadzieścia lat!

Musiało się nagle skończyć i nie obeszło bez bólu. Nieuniknione, że którejś nocy przy stole rozjarzeń, igrających po klawiszach, zapatrzyłem się w fiołkowe, zdradliwe oczy dziewczyny. Były trochę za długie, ich fiolet prawie czarny. Płynęło z nich coś, czego wtedy nie umiałem sobie wytłumaczyć. I ona, rzecz naturalna, złożyła usta jak do pocałunku. Starczyło. On przeciął nam pasmo zadurzenia zimnym spojrzeniem. Wstał i wygwizdał kuter.

Ruszyłem za nim ogłupiały, z ostatnią, namiętną i kolorową fugą fortepianu w uszach. Musiałem.

Nie upłynęło i tygodnia, jak zostałem przydzielony na okręt. — Dość tego — powiedział mi krótko. — Dość obnaszania adiutanckich dyndzołków.

Rozumiałem: zazdrość go gryzie. Nawet nie miałem sposobności pożegnać się z naszą artystką. Zabronił mi dawać kuter. Cały czas dęło pół sztormu. A kto widywał polarne bujowiska wśród kamieni, pojmie.

Powinienem go był znienawidzieć.

Przestał grać, urywając w pół tonu. Obudził mnie ze snu na jawie. Pomyślałem: jak zawsze złośliwy. Toteż obrzuciłem mego towarzysza napastliwym spojrzeniem i mówię:

— Kochałeś ją?

— Nie.

— Więc co, u...

— Tylko jej muzykę.

— Ale ją miałeś?

— Ja — krzyknął z akcentem szczerości. — Przecie jestem zdrów.

Szczęka mi opadła i popatrzyłem na niego krągłymi ze zdumienia oczyma, jak bałwan. Stary bałwan do tego.

— Tak, tak — kiwał przydługą swą głową. — Była chora.

Powiedział to, jasna rzecz, w sposób, nie nadający się do powtórzenia.

— I dlatego wylałeś mnie, zamiast ostrzec?

Parsknął przykrym, chropowatym śmiechem i zaczął nerwowo nabijać fajkę.

Miał rację. Pomogłoby jak umarłemu kadzidło.

I dopiero w trzydzieści lat po fakcie przejrzałem i doceniłem mego Paganiniego.

Jerzy Bohdan Rychliński

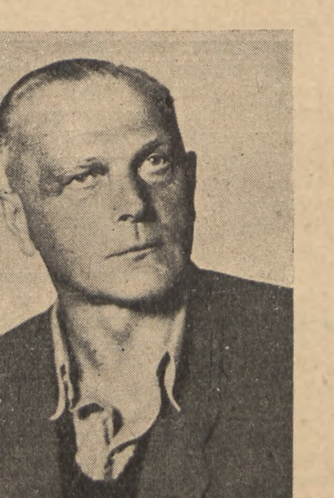
Rozmowy z polskimi marynistami (5)

Mieczysław Zydler

Znany już przed wojną z licznych opowiadań, nowel czy artykułów na tematy morskie czy kaszubskie, pozostał Mieczysław Zydler również i po wojnie wierny tym samym zagadnieniom. Jego wydany po wojnie, w lecie br., zbiór opowiadań p. t. *„Morze woła"* przeprowadza czytelnika śródlądowym szlakiem turystycznym do Bałtyku, by pokazać mu prawdziwe oblicze morza i przymorza oraz szary trud rybacki i marynarski. Jest dużo pogody, umiłowania natury morskiej oraz miłości ludzi w twórczości tego ciężko przez życie dotkniętego, beznogiego eks-żołnierza i wiernego morzu pisarza. Ciężkie, jeżeli nie rozpaczliwe warunki życia podczas okupacji i niemniej trudna sytuacja materialna tuż po wyzwoleniu, nie sprzyjały jego pracy literackiej. Wprawdzie Zydler mówi o tym z pogodą, jest jednak w jego zwierzeniach na ten temat pewna kropla goryczy.

— Tak się złożyło — zwierza się — że przez półtora roku naszej wolności pracowałem przeważnie nie jako pisarz, lecz jako sprzedawca papierosów. Innego wyjścia nie miałem, jeśli nie chciałem douścić, aby moja rodzina nie cierpiała głodu. Na wydanie książki brak mi było gotowego materiału, gdyż niemal wszystko przepadło mi podczas przesiedlenia z Wybrzeża na teren „Generalnego Gubernatorstwa", a potem podczas powstania warszawskiego.

Start literacki i życiowy musiałem zacząć od nowa. Praca, nie mająca nic wspólnego z literaturą, była dla mnie tym ciężarem, że po latach okupacyjnych zamieszkałem znowu nad morzem, gdzie rodził się niejeden świeży pomysł, którego jednak nie mogłem zrealizować.



Siedziałem w swojej budce, mającej półtora metra na dwa, posępny, strasząc amatorów „Wolności" i „Partyzantów" swoją nachmurzoną twarzą. Wiadomo, że sprzedaż papierosów nie hańbi, ale całkowity brak czasu na własne, swoje myśli nie sprzyja na pewno pisarzowi. Kiedy jednak „odkułem się" na tyle, że mogłem przyjąć płatną siłę, odetchnąłem. Wprawdzie dochody zmniejszyły się nagle, ale odzyskałem przynajmniej to minimum czasu, które potrzebne jest na pracę twórczą i gorliwie zabrałem się do pisania.

— Przejdźmy jednak do rzeczy. Jaki był powód Pańskich zamiłowań marynistycznych?

— Nie lubię co prawda tego słowa „marynistyka" w zastosowaniu do literatury. Każdy dobry, poczuwający się do odpowiedzialności za słowo, pisarz może dobrze pisać o morzu, jeżeli znajdzie się w sprzyjających morskich czy przymorskich warunkach. Jeżeli zatem za marynistę uważa się pisarza, który tworzy niejako na marginesie swojej pracy zawodowej marynarza lub rybaka, to w takim razie nie jestem marynistą. Nie byłem bowiem nigdy i nie jestem marynarzem, nie byłem i nie jestem rybakiem.

Pomimo doraźnie robionych przed wojną wypraw niedużymi statkami po Bałtyku Zachodnim i Zatoce Fińskiej, pomimo wspólnych z kaszubskimi rybakami połowów, patrzę na morze oczyma człowieka lądu, wprawdzie nad morzem od dawna osiadłego, życiem nadmorskim żyjącego, ale bądź co bądź urodzonego w dalekiej Warszawie i pomimo wszystko myślącego inaczej niż twarda, rodzima ludność Wybrzeża. Pobyt nad morzem uratował mi kiedyś zdrowie, stąd moja miłość do morza. Ilekroć po miesiącach spędzonych w mieście wracałem na wieś kaszubską — była nią zawsze ta sama Karwia — odzyskiwałem znowu wiarę w piękno, w dobroć ludzką i w siebie. A to bardzo wiele, prawda, panie redaktorze?

— Może mi Pan powie coś więcej o tych związkach z wsią ka-

(Dokończenie na str. 4)

Pokusy polskie Daniela Chodowieckiego

(Dokończenie ze str. 1)

go list do libertyna Nicolaego) głęboko religijnym i moralnym, prawie skrupulatnym człowiekiem, tym więcej przyjąć można, że na wiatr nie mówił.

Jeżeli więc tak niedwuznacznie wielki artysta przyznaje się do polskości i nigdy nie powiedział nic podobnego w stosunku do niemieckości, my Polacy najmniej mamy powodu bagatelizować te oświadczenia i widzieć w nich, jak czynią to Niemcy — znamiennym jest, że tylko Oettingen miał odwagę wydrukować ustęp listu do Łęskiego, a polegający na tamtym Kaemmerer i Bredt kontentują się bezbarwniejszym cytatem z listu do hrabiny Solms — tylko świadectwo pochodzenia Chodowieckiego. Tak bowiem oceniają list wszyscy polscy pisarze od Rastawieckiego aż do Encyklopedii Ultima Thule, z wyjątkiem Bartynowskiego i poniekąd Adolfa Nowaczyńskiego [3]). Że takie stawianie kwestii jest zbyt skromnym, okazała, jak tuszę, powyżej dana bliższa listu analiza, zwłaszcza że i twórczość artysty nie była tak mało polska, jak to się przypuszczało dotychczas, czego dowodem poniżej służymy.

Twórczość Chodowieckiego odnosząca się do rzeczy polskich

Zaledwie 17 lat mając, Chodowiecki opuścił Gdańsk, a więc i Polskę, i zamieszkawszy na stałe w Berlinie, zdala żył od środowisk, a nawet od wszelkiego prawie kontaktu z kulturą polską. Można było wobec tego oczekiwać, że tematy polskie w ogóle nie wejdą w obręb jego zainteresowania, że mistrz całkowicie obumrze dla kultury polskiej, tym bardziej, że zarzewie patriotyzmu, duchowej przynależności do Polski, w ogóle mało rozwinięte w początkach XVIII w., nie mogło być silne w tej mieszaninie narodowej polsko-niemiecko-francuskiej, którą przedstawiał dom Gotfryda Chodowieckiego w Gdańsku.

Drugim więc obok własnych oświadczeń kryterium pozytywnym narodowej przynależności mistrza będzie twórczość jego „polska", tj. poświęcona polskim przedmiotom. Zobaczymy, że jakkolwiek liczebnie stosunkowo słaba, jak inaczej być nie mogło wobec przemożnie otaczającego go potopu kultury niemieckiej i zamówień niemieckich wydawców, jest jednak w rzeczy samej dość pokaźna i towarzyszy artyście przez całe życie. Zestawmy poniżej poszczególne te dzieła, które stwierdzić się dało, bez pretensji zresztą do wyczerpującej dokładności.

A. Dzieła malarskie.

1) Portret miniaturowy króla Stanisława Leszczyńskiego z r. 1734.

2) Portret prymasa Podoskiego, wykonany w Gdańsku w r. 1773. Portret miniaturowy, jednakże jak na miniaturę znacznych rozmiarów (31x23 cm), malowany na skórze łabędziej.

B. Rysunki.

1) „Kazanie jubileuszowe w Krakowie", rysunek piórkiem, tuszowany filio, sygnowany: „Ein polnisches Jubel-Jahr und Bus-Predigt in Cracau, gezeichnet 1750 D. Chodowiecky del. Cracovia", przechowany w muzeum w Weimarze.

2) Kilka emblematów do tytułu mapy Polski, wydanej przez Müllera.

3) 33 rysunki z „Podróży gdańskiej" z r. 1773. Z powodu znacznej ich liczby i wyjątkowego znaczenia należy im się osobne omówienie.

4) Portret polskiej pani.

5) Portret polskiego chłopca.

6) Portret szambelana Husarzewskiego.

---

[3]) Nowaczyński, Sława rodu Chodowieckich (Pamflety, Warszawa, 1930, str. 246—250) rzuca określenie: „gente Polonus, natione artifex", a więc: z pochodzenia Polak, z narodowości (kosmopolityczny) twórca, owoc „sfrancuziałej" kultury ówczesnego Berlina. — Jeżeli zresztą autor mówi, że rysunki „podróży gdańskiej" Chodowieckiego „zgoła nieznane są w Polsce", to może się to odnosić chyba do ich całości. Pięć kostiumowo najbardziej charakterystycznych opublikował Łoziński (Życie polskie w dawnych wiekach) już w latach 1911 i 1921 (wyd. III i IV) a kilka dalszych X. Makowski, D. Ch. dziennik gdański w r. 1921.

C. Dziennik „Podróży gdańskiej"

Chodowiecki, wyjechawszy z Gdańska w r. 1743, nie widział matki i miasta rodzinnego przez lat 30. Wreszcie w r. 1773, będąc w pełni sił i rozwoju, dobijając się już sławy w Berlinie, zdecydował się na wyjazd do Gdańska, aby zobaczyć rodzinę i załatwić w jej interesie niektóre pilne sprawy majątkowe. Nie znosząc dyliżansu, wybrał się konno drogą przez południową Pomeranię. Co widział, co spotykał, co robił, mówił, słyszał, skrzętnie notował w dzienniku, a co ciekawsze, szkicował ołówkiem, później za powrotem w Berlinie rysunki wykończając i z dumą zbiór ten dobrym znajomym aż do końca życia pokazując. Powstał tym sposobem nadzwyczajnej wprost wartości dokument kultury, mody, życia rodzinnego i towarzyskiego owej epoki, przez pół jeszcze wdzięczącej się uśmiechem rokoka, przez pół jeszcze przywdziewającej surowszą togę klasycyzmu. Dokument także życia polskiego, rozgrywającego się w pośród kilkunastu rodzin, które po katastrofie pierwszego rozbioru do tej odległej wyspy polskiego terytorium się schroniły. Poza tym rysunki, w w czym są zgodni wszyscy, stanowią wyżynę twórczości mistrza, który w ogóle w rysunkach, następnie w dziełach rylca, nie zaś pendzla złożył najlepszą cząstkę swego życia. Jak rzadko gdzie, występują w rysunkach gdańskich niezrównane Chodowieckiego zalety: wdzięk formy, żywość i bezpośredniość obserwacji, życie tętniące, doskonałe do reszty scharakteryzowanie postaci, zaprawione lekką, niegryźliwą ironią. Sceny polskie, które fakturą artystyczną na samo czoło serii się wybijają, są następujące:

1. Rozmowa z dwiema niewiastami we wsi kaszubskiej.
2. Zagroda włościańska niedaleko Oliwy (mężczyzna o stroju i typie polskim).
3. Zakonnik na ulicach Gdańska.
4. Dwaj karmelici.
5. Polska stajnia dla koni w Gdańsku.
6. Prymas z otoczeniem schodzi z beizlagu Domu Angielskiego.
7. Franciszkanin w Gdańsku.
8. i 9. Dwie polskie panie klęczące w kościele św. Mikołaja (dominikańskim).
10. Flisak polski.
11. Grupa modlących się w kościele św. Mikołaja.
12. Dominikanin ojciec Ludwik Mathis.
13. Chodowiecki w salonie Księcia Prymasa który siedzi do portretu (w stroju świeckim).
14. Wojewodzina Przebendowska siedzi do portretu.
15. Chodowiecki portretuje wojewodę Ignacego Przebendowskiego.
16. Chodowiecki maluje miniaturę Prymasa w pełnym stroju prymasowskim.
17. Dwie głowy (panna Chrząszczowska i ojciec Mathis).
18. Starościanka Ledóchowska w sieni p. Czackiego.
19. Panna Chrząszczowska.
20. Książe Prymas w negliżu porannym.
21. Panny Ledóchowska i Chrząszczowska witają się z p. Czacką w jej salonie.
22. Pani Podoska, bratowa prymasa, w towarzystwie chevalier Du Bouloir.
23. Starosta Ledóchowski całuje w rękę p. Podoską.
24. Chodowiecki portretuje Madame Oehmchen intendantkę prymasa.
25. Obiad ceremonialny u prymasa.
26. Panna Gousseau całuje rękę pewnego ojca dominikanina.
27., 28., 29. Trzy panie klęczące w kościele Dominikanów.
30. Panna Ledóchowska z guwernantką panną Gousseau.
31. Madame Oehmchen w dwóch pozach.
32. Strażnik Czacki w rozmowie z panią Ledóchowską.
33. Szlachcic w kontuszu przechodzi obok dwóch pań klęczących.

Jakie jest znaczenie tych rysunków? Jeżeli w ogóle szkice te z podróży gdańskiej należą do arcydzieł Chodowieckiego, jak wszyscy jego biografowie (m. in. Oettingen, Kaemmerer) zgodnie stwierdzają, to sceny polskie górują bodaj nad nimi w tej serii. Liczbowo zajmują poczesne miejsce. Wszystkich ilustracyj dziennika jest 108. Skoro odliczymy sceny z podróży do Gdańska i powrotnej, tak samo rodzinne i kilka innych o charakterze pejzażowym lub architektonicznym, pozostaną 44, mające za przedmiot typy gdańskie i niemieckie towarzystwa w Gdańsku. Biorąc z drugiej strony pod uwagę, jak niepomiernie słabszym był liczebnie w Gdańsku element polski, będziemy mieli namacalny dowód, w jakim stopniu kultura polska, życie i zwyczaje polskie wywierały atrakcję na duszę artysty, który tu po raz pierwszy i raz jedyny w życiu znalazł się nie w środowisku, lecz zaledwie na pograniczu polskości. Bo pobyt w Krakowie w r. 1750 przypadał na czas młodości, gdy przeważały interesy kupieckie, a druga podróż do Gdańska w r. 1780 nie zostawiając zgoła śladów w twórczości Chodowieckiego, nie wprowadziła go w towarzystwo polskie, które tylko po pierwszym rozbiorze w znaczniejszej liczbie tam się znalazło. W ogóle mistrz mało podróżował: poza Gdańskiem, Wrocławiem, Lipskiem, Dreznem i Hamburgiem nigdzie nie był.

Ma się wrażenie, że po prostu zadrgało w Chodowieckim polskie serce, gdy zetknął się bezpośrednio z tym światem, raczej światkiem polskim w Gdańsku. Przewija on się przed nami w świetnie naszkicowanych scenach i w bezpretensjonalnie, choć nie bez talentu i humoru pisanym francuskim dzienniku. Od Słupska przejeżdża przez nędzne wsi kaszubskie, ale nędza i skrajne ubóstwo wyziera ze wszystkich wsi już od środkowej Pomeranii koło miasta Plathe. Świadectwo to artysty nie bez znaczenia: więc w r. 1773, jak zresztą i skądinąd wiadomo, ludność kaszubska mieszkała zwartym wałem już od Słupska, a nędza była nie tylko właściwością polskiego Pomorza, nad którego stanem biadają niemieccy historycy, ale i zachodniego, które od stu przeszło już lat zażywało dobrodziejstw pruskiego berła. Wjechawszy 10 czerwca na nasze Pomorze, od niespełna roku zajęte przez Prusaków, spożywa obiad u poczmistrza w Donimierzu, gdyż w gospodzie były pustki, i nocuje we wsi odległej o 2 mile od Gdańska — zapewne w Chwaszczynie — zakupiwszy od proboszcza ćwierć korca żyta za 10 groszy srebrnych na paszę dla konia, ponieważ owsa nie było. Wielce interesującym o charakterze dokumentu jest rysunek przedstawiający dwie starsze kobiety z dzieckiem na tle kilku domów jednej wsi przed Donimierzem: kobiety oddane dość konwencjonalnie, świetnie natomiast podpatrzony dzieciak kaszubski i dobrze odczuty charakter wsi, jak i dziś jeszcze nie inaczej na Kaszubach się prezentuje.

W Gdańsku, gdzie zostaje od 11 czerwca do 10 sierpnia, zrazu poświęca się matce i rodzinie, przebywa w domach, mniej lub więcej z rodziną skoligaconych lub zaznajomionych lecz dostawszy się w polskie towarzystwo, już głównie w nim się obraca, w ostatnich tygodniach będąc codziennym gościem Prymasa. Prymas Jan Gabriel Podoski był ośrodkiem tej kolonii polskiej którą katastrofa pierwszego rozbioru na gdańską wyspę, ocalałą z pruskiego potopu, rzuciła. On też staje się osią i ośrodkiem drugiej połowy pamiętnika Chodowieckiego. Znaczony w historii piętnem człowieka bez charakteru, karierowicza, prawie zdrajcy, tu występuje jako książę pan w każdym calu, dostojny a miły w obejściu. Chociaż malarz a zresztą i całe towarzystwo gdańskie, także niemieckie, z czcią i sympatią do niego się odnosi — pastor Boquet nawet układa konwencjonalny wiersz francuski na jego cześć — niejeden szczegół tu podany w zgodzie jest z ustalonym charakterem historycznym prymasa. Wichrzyciel pod inspiracją Repnina na rzecz dysydentów i konfederacji radomskiej oraz sympatyk kościoła narodowego przypomina się, gdy mówi do malarza, że wszystkie religie mają swoje dobre i złe strony i ta jest najlepsza, która uczy Boga kochać i bliźniego, wyrażenie, które nawet Oettingen uważa w ustach księcia kościoła za ryzykowne.

D. Dzieła rytownicze.

1. Trzej jeźdźcy polscy cwałujący.

2.—4. Typy polskie, trzy małe płyty, oddrukowane na jednej karcie. Przedstawiają: Panią idącą, z laską w lewej ręce, za którą kroczy chłopiec w kontuszu z szablą. Napis u góry: „Devotka popolska"(!) — Szlachcica stojącego w polskim stroju — Kapłana zakonnika w ornacie mszalnym, poprzedzonego przez ministranta z mszałem. Rytowane r. 1775, figurki są niewątpliwie reminiscencjami z pobytu w Gdańsku.

5. Flis. Pierwsza rycina z drugiej serii dwunastu satyrycznych „propozycji małżeńskich" 1781.

6.—7. Odmłodzony starzec. Rycina tytułowa do niemieckiego tłumaczenia poematu Krasickiego.

8. Oko Opatrzności. Oko Boże w trójkącie, otoczonym czterema cherubinami w chmurach. Rycina na pierwszej stronie kartki złożonej, której trzecia i czwarta strona zawierają modlitwę do Trójcy św. W r. 1787 X. Tomasz Gram, proboszcz w Berłągach pod Olsztynem w diecezji warmińskiej, zamówił po 1.000 egz. z modlitwą polską i niemiecką u artysty za cenę 36 talarów dla swego bractwa Czci Bożej. Na rycinie u góry i u dołu znajdują się napisy, drukowane łacińskimi czcionkami: „Bóg patrzy i opatruje". „Bóg patrzy i opatrzy". Niewątpliwie więc chodzi o bractwo katolickie, gdyż protestanccy Mazurzy posługują się szwabachą.

9.—10. Porwanie króla Stanisława Augusta w r. 1771 i Sejm Wielki z r. 1789. Dwie z dwunastu ilustracji do historii nowszych czasów w kalendarzu gotajskim na r. 1790.

11. Alegoria Konstytucji 3 maja (Die neue Polnische Constitution), jedna z sześciu ilustracji do historii nowszych czasów w kalendarzu getyngskim na r. 1793.

12. Uchwalenie Konstytucji 3 maja (Die Feyer der grossen Revolution Pohlens), jedna z sześciu ilustracji do historii współczesnej w Königl. Grosbritanischer Hist. Geneal. Calender na r. 1793.

13. Rozmowa Fryderyka II. z Augustem III (Conferenz mit dem König von Polen wegen der Eroberung von Mähren), jedna z dwunastu ilustracji do historii brandenburskiej w kalendarzu historyczno-genealogicznym na rok 1794.

14. Szlachcic polski wraz z innymi fantastycznie zgrupowanymi postaciami z r. 1794.

15.—20. Sześć scen z historii polskiej z napisami niemieckimi i francuskimi: Piast wraz z żoną gości dwóch nieznajomych — Bolesław karze niewierne żony — Krzyżak — Upomnienie Zygmunta Augusta przez Rafała Leszczyńskiego — Sobieski zwycięża Tatarów 1672 — Król Sobieski niecierpliwie zakończa rozmowę z cesarzem w r. 1683 (Sobieski endigt die langweilige Unterredung mit Leopold). W histor.-geneal. kalendarzu na rok 1796.

21.—26. Dalszych sześć scen z historii polskiej: Kazimierz Wielki umiera podczas polowania — Książę mazowiecki Konrad wzywa na pojedynek króla Jana Olbrachta — Albrecht pruski śle poselstwo do Lutra — Krwawa burda Samuela Zborowskiego — Kongres religijny w Toruniu w r. 1645 — Ucieczka Stanisława Leszczyńskiego w przebraniu z Gdańska do Kwidzyna. W hist.-geneal. kalendarzu na r. 1797.

Na marginesie powyższych scen znajduje się kilka „kaprysów" m. in. jeździec polski, głowa szlachcica, szlachcic w postawie stojącej z psem, w ręku trzymający laskę. Poza tym miniaturowe te scenki i postacie pełne mistrzowskiego zacięcia i polotu, a występujące masowo dopiero w ostatnim dziesięcioleciu artysty osnute są niekiedy na polskich tematach np. szlachcic polski z dzieckiem, męskie postacie w kostiumie polskim, modląca się na kleczkach niewiasta i dziewczyna całująca księdza w rękę, alegoryczna postać niewieścia, prowadząca na smyczy dwugłowego psa, z napisem „Swada". Jeżeli na pierwszy rzut oka zdawać się może, że wśród wielkiej ilości tych „kaprysów" liczba polskich niewielka, to stwierdzić trzeba że olbrzymio przeważają tematy alegoryczne, mitologiczne i rodzajowe, a inne narody prawie wcale tam nie występują. Kaprysy te więc są dowodem że wspomnienia polskie ciągle w twórczości mistrza się plączą. Warto także podkreślić, że pierwszy w ogóle z „kaprysów" jest polski (powyżej podany pod Nr. 1: trzej jeźdźcy) i umieszczony jest na marginesie jednej z rycin do dramatu „Minna von Barnhelm", zupełnie niezwiązany z treścią tych ilustracji.

„Ich mache mir eine Ehre daraus, ein wahrer Pole zu sein"

Zauważyć się daje u Chodowieckiego po podróży gdańskiej i bywaniu w tamtejszych polskich domach, a więcej jeszcze w ostatnich trzynastu latach życia wzrost zainteresowania i poczucia polskiego. Niewątpliwie pod wrażeniem wypadków politycznych w Polsce: sejm czteroletni, konstytucja 3 maja, ostatnie rozbiory. Wpłynęły one na Chodowieckiego albo bezpośrednio, albo może pośrednio: ogół niemiecki zainteresował się historią polską, której opisy dawały kaledarze. Chodowiecki tworzył dla nich ilustracje: tak zyskała na sile obudzona już w Gdańsku świadomość polska i, nawiązując do polskiej genealogii rodu, znalazła pełen swój wyraz w liście do Łęskiego: „Ich mache mir die Ehre daraus, ein wahrer Pole zu sein."

Tak się nie mówi okazyjnie i na wiatr, i tak nie powie człowiek o trzeźwym nawskroś charakterze, ponadto o znaczeniu i sławie Chodowieckiego, gdyby tych słów nie brał na serio. Więc mamy chyba pełne prawo uważać go za Polaka.

W Polsce urodzony i przez 17 lat wychowany — mniejsza o to, że pierwszy utwór dziecka jeszcze ma za temat polskiego króla — w Polsce podczas niedługiego coprawda, bo dwumiesięcznego w niej pobytu (Gdańsk w r. 1773 należy jeszcze do Polski) tworzy całą serię dzieł polskich, pierwszorzędne dokumenty kultury polskiej XVIII w., z których niektóre, np. portrecik starościanki Ledóchowskiej, uznane są ogólnie za jedne z najcenniejszych dzieł mistrza, i aż do końca życia nie zapomina w dziełach swoich o Polsce, chociaż w obcem żyje środowisku. Czy nie mamy prawa zaliczać go do artystów polskich, gdy on sam nazywa się „peintre polonais"? Czy nie należy także do historii sztuki polskiej?

Zaliczamy do niej Dolabellę, Silvestre'a, Bacciarellego, Norblina i dziesiątki innych. Prawda, że oni przez dłuższy czas w kraju przebywali i szkoły tu zakładali. Niewątpliwie jednak i Chodowiecki szeroko rozpowszechnionymi i znanymi akwafortami swoimi nie pozostał bez wpływu na współczsnych i potomnych malarzy i rytowników polskich, co szczegółowo zbadać byłoby sprawą osobnego studium. Choćby na technikę np. Orłowskiego, mimo, że ten ideowo raczej na przeciwnym stoi biegunie.

Z historyków sztuki polskiej Rastawiecki w słownikach swoich Chodowieckiego uwzględnia, nie ma go w mniejszych zarysach i podręcznikach. Nie pomija go wprawdzie Kopera w nowych swoich Dziejach malarstwa polskiego, ale niedostatecznie mu poświęca uwagi, nie doceniając wartości rysunków z podróży gdańskiej i mylnie utrzymując, że Chodowiecki „nie pracował w Polsce wcale". Niemcy w ogólniejszych co prawda dziełach (Kulm, Woermann, Thieme-Becker) nawet już nie wspominają o polskim pochodzeniu Chodowieckiego. Tym wyraźniej my upomnieć się powinniśmy. Jeżeli nie myślimy pozwolić sobie wydrzeć Kopernika, jeżeli nie rezygnujemy z Conrada — Korzeniowskiego, nie mamy zaiste powodów, ażeby z lekkim sercem Niemcom pozostawić Chodowieckiego. Już w r. 1893 po niemiecku piszący Polak K. Różycki w czasopiśmie „Sammler" zgłaszał niejako polsko-niemieckie kondominium: „Zresztą pamięci Chodowieckiego tylko może być pożytecznym, jeżeli dwie nacje w równej go czczą mierze". Różyckiemu znany był tylko list do Łęskiego. My, opierając się na większym materiale dowodowym, tym śmielej powiedzieć możemy: Wypadek należenia artysty do dwóch kultur narodowych nie jest odosobniony. Riberę, który rodem będąc z Hiszpanii, we Włoszech się kształcił, żył i umarł, nie odstępują dlatego Włochom Hiszpanie. Haendel, genialny muzyk, w młodym wieku opuścił Niemcy i osiadł w Anglii, umierając tam jako starzec. Wśród oper, oratoriów i pieśni jego w różnych językach (łacińskim, włoskim, francuskim, przede wszystkim w angielskim i dla kultu angielskiego skomponowanych) znikoma ilczba jest niemieckich. I Anglicy uważają go za swojego, i w każdej niemieckiej historii muzyki figuruje jako twórca niemiecki. Więc konkludując powiedzmy:

Nie zamierzamy wykreślić Chodowieckiego z ewolucji sztuki niemieckiej, nie mniej winien on zająć miejsce na parnasie polskiej sztuki.

Ks. Bolesław Makowski

Do niepodległych Gerwazych i Protazych

(Dokończenie ze str. 2)

myślenia — komunizm wyciąga tu rękę do wszystkich szczerych patriotów republikańskich, do socjalistów i do... katolików (sic!)...

Akcja ta wywołała żywą reakcję wśród znajdujących się poza partią komunistyczną szczerych ludzi postępu, m. in. wśród postępowych katolików, co specjalnie powinno zainteresować katolicką Polskę. Wyciągniętą przez komunistów rękę przyjęła powstała niedawno „Union des Chrétiens Progressistes" z Marcel Moiroud na czele. Inne, starsze od wspomnianej „Unii", odłamy myśli katolickiej, różnią się między sobą w odcieniach, lecz wszystkie zgłaszają swą solidarność z postępowymi dążeniami Francuskiej Partii Komunistycznej i razem z nią tworzą front ludowo-rewolucyjny. Należy tu zaliczyć: grupę „Esprit", organizację „Jeunesse de l'Eglise", środowisko Stanislas Fumet itd. — Choć katolicy nie są we Francji liczni, niemniej mają wielki ciężar gatunkowy, wyróżniają się bowiem wysoką klasą intelektu, śmiałością w szukaniu dróg życia i prawdy. Choć nie najliczniejsi, są niezawodnie najbardziej żywotni spośród francuskich katolików.

Zdawałoby się, że współczesna Polska ma znakomitą koniunkturę dla tego rodzaju wysiłków i że jej tradycja katolicka wykaże teraz swą żywotność, wyczuwając rzeczywistość i włączając się w nurt przemian politycznych, społecznych i gospodarczych. Niestety — nie wykorzystano wspomnianej koniunktury. Ruch tzw. „katolików radykalnych" (ksiądz Weryński) został stłumiony przez czynniki wsteczne, pozostałe środowiska polskich katolików postępowych są nieśmiałe, nie mają zdecydowanych konturów (naprzykład grupa „Dziś i jutro"), a gdyby stosunkiem matematycznym wyrazić ich potencjał w porównaniu z francuskimi katolikami, porównanie wypadłoby na niekorzyść Polski w stopniu jeszcze bardziej kompromitującym niż zestawienie pozytywizmu francuskiego, z pozytywizmem polskim w drugiej połowie XIX wieku.

Nie dlatego przecież tak się dzieje, żeby Polacy mieli być „biologicznie" czy „rasowo" niżsi od Francuzów, lub też na tyle mniej od nich liczni. W XV i XVI wieku bywało inaczej. Wówczas Polska naprawdę należała do kultury „zachodniej" i nie była sarmacką, izolowaną wyspą wszelakich dziwadeł. Gdyż tzw. „charakter narodowy" zmienia się, tak jak ruchomym i płynnym jest wszystko. Ale — przez przeszło trzy wieki, warunki polskie były takie, że naród został źle wychowany. Oto — wszystko...

Nie ma narodu na obu półkulach globu ziemskiego, gdzie by nie było partii komunistycznej. W Polsce słowo: „komunizm" jest mało strawne, jak słowo „jakobinizm", którym rodacy darzyli oświeconych twórców Konstytucji Trzeciego Maja.

Strach słów i cofanie się przed prawdą.

Ale — awangardowa lewica polska stoi — mądra i mocna — na straży narodowych interesów. Jest ona nadzieją i przyszłością kraju. Komuż by się miało udać wydźwignięcie go z sarmackiego impasu, jeśli nie jej?...

Ufamy jej i patrzymy spokojnie w przyszłość. Idzie **ona drogą własną,** ale z oczami szeroko otwartymi na świat i na te szlaki postępu, którymi świat idzie konsekwentnie naprzód.

Krystyna Wryczan

Autorka niniejszego listu nie jest komunistką, lecz katoliczką. To dla uniknięcia niektórych komentarzy.

Wśród czasopism

Niedawno ukazał się jeleniogórski numer specjalny „niezależnego dwutygodnika literackiego" „*Warszawa*". Nazywamy go jeleniogórskim, mimo że redakcja określiła go jako poświęcony Ziemiom Odzyskanym. Na treść jego złożyły się bowiem niemal wyłącznie prace literatów osiadłych w bliższym i dalszym rejonie Jeleniej Góry, tych mniej więcej, którzy zaczynali tam działalność jako grupa „polskich pisarzy sudeckich". Nazwę tę na szczęście zdołano im jakoś wyperswadować, tworząc w Jeleniej Górze normalny Oddział ZZLP.

Omawiany numer „*Warszawy*" *przynosi* zatem prace następujących osiadłych w podkarpackim zakątku Dolnego Śląska literatów: Edwarda Kozikowskiego, Teofila Kowalczyka, Jana Koprowskiego, Wacława Mrozowskiego, Niny Rydzewskiej, Jana Sztaudyngera, Henryka Worcella i Marii Płaskoty. Gościnnie z tematyką zachodnią wystąpili: Jan Nepomucen Miller, Stanisław Helsztyński oraz bywalec Szklarskiej Poręby, Bogdan Kamodziński. Ze Szczecina zaproszono jeszcze na okrasę Waleriana Lachnitta. Miller napisał przepisowy, uroczysty wstępniak o wymownym tytule „Polska nad Odrą na zawsze". Politka redakcyjna winna takich wstępniaków unikać w pismach literackich jak ognia. Autorzy, u których się je zamawia, mordują się nad nimi najczęściej bez poważniejszego rezultatu, kończąc na zbiorze okolicznościowych frazesów. Rolę takiego artykułu spełniłby w tym numerze „*Warszawy*" doskonale fragment powieści Henryka Worcella, drukowany na str. 2. Przemawia do czytelnika znacznie silniej niż publicystyka. Stanisław Helsztyński omówił obszernie pracę i poszczególne pozycje redagowanej przez siebie serii wydawnictw popularnych „Biblioteka Ziem Odzyskanych". Bibliotekę tą wydają Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Bez większego rozgłosu dorobiła się już ona 20 tomików, drugie tyle znajduje się w druku lub opracowaniu. Prasa literacka nie zainteresowała się tymi wydawnictwami niemal zupełnie. Nie przypominam sobie, bym czytał w którymś z poważniejszych pism recenzje książeczek z tej serii. Lachnitt daje krótki reportaż z wieczoru literackiego w rybackim „Dziwnowie". Reportaż jest wcale interesujący i napisany świeżo, przyjemnie, bez silenia się na „wielki dzwon", którego tony słyszymy często w publicystyce na te tematy. Natomiast dziwacznie pogmatwan i utrzymany trochę w stylu sprawozdania małego Jasia z wycieczki szkolnej jest pamiętnik Bogdana Kamodzińskiego z pobytu w Katowicach i Wrocławiu. Nie mniej można mieć żal do autora, że urwał og za wcześnie, mianowicie w momencie, gdy jedzie wraz ze swoją towarzyszką tramwajem do Oporów, by odwiedzić Żukrowskiego. Następny fragmencik pamiętnika mógłby być nawet oryginalny, a powinien być hołdem złożonym gołębiemu sercu sołtysa oporowskiego. Tę niejeleniogórską część numeru uzupełnia typowo dziennikarski reportaż statystyczno-opisowy Klary Dąbrowskiej „W dolinie Baryczy".

W ściśle literackiej części numeru poza wspomnianym już, znów doskonałym fragmentem powieści dolnośląskiej Worcella „Odwet" czytamy urywek powieści Niny Rydzewskiej o kopalni dolnośląskiej. Ze względu na szczupłość urywku o samej powieści niczego jeszcze powiedzieć nie można. Dalej mamy tam jeszcze pierwszy akt sztuki Teofila Kowalczyka „Spotkanie nad Nysą". Sztuka ta wystawiona była w sierpniu br. w teatrze jeleniogórskim. Sądząc po pierwszym akcie nie bardzo się ona autorowi udała. W akcie tym uderza rozgadana publicystyka, schematyczność i daleko posunięte uproszczenie sytuacji, absolutnie nie wytrzymujący próby sceny dialog. Tematem jest zetknięcie się polskich osadników na Ziemiach Odzyskanych z Niemcami, którzy jeszcze nie opuścili swych siedzib. Ten motyw, który tak świetnie opracował Worcell, w dramacie Kowalczyka — w pierwszym przynajmniej akcie — rysuje się bardzo blado i nieciekawie, a sama sytuacja wydaje się nieco przeciągnięta. Poezję reprezentują w numerze: Kozikowski, Sztaudynger, Koprowski, Mrozowski i Płaskota. Cała ta poezja jest dosyć sielankowa przy dużych skłonnościach do liryzującego opisywania.

Z najcięższą kolubryną ruszył do ataku Edward Kozikowski w artykule „Prawda o pisarzach i twórczości". Jest to jedno wielkie i namiętne oskarżenie przeciw wszystkim o brak zainteresowania i pomocy dla pracy pisarzy, osiadłych w rejonie Jeleniej Góry. Tytuł obiecuje więc za wiele. Jest w lamencie Kozikowskiego wiele prawdy, jest też jednak dużo emocjonalnej przesady i rozdawania kuksańców na prawo i lewo, gdzie popadnie. Trzeba się zgodzić z autorem artykułu, jeśli domaga się cierpliwości zamawiaczy społecznych pragnących, by pisarze osiadli na Ziemiach Odzyskanych już fabrykowali wielkie dzieła związane z ich tematyką. Tu ma Kozikowski rację, ale sam osłabia siłę swojej słusznej argumentacji biadając na wszelakie — mieszkaniowe, pieniężne, posadowe — krzywdy literatów jeleniogórskich, na brak zainteresowania nimi ze strony Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Ziem Odzyskanych. Sugeruje w ten sposób, że w tym stanie rzeczy leży przyczyna, że literaci piszą mało i nie spełniają oczekiwań. To jest grube uproszczenie sprawy, a jako kontrargument przytoczę tylko Worcella i omawiany na tym miejscu jego reportaż autobiograficzny „Ludzie ze Skrzynki" drukowany w „*Nowinach Literackich*". Worcell pisze właśnie o swoim ciężkim trudzie, o swojej mordędze i utrapieniach. Jego powieść wyrasta wprost z jego mozolnej pracy. Gdyby tej pracy nie miał, nie byłoby „Odwetu", albo nie byłaby to *taka* powieść. A nam właśnie chodzi o powieść o pracy. Rzecz oczywista, że innemu typowi psychiki twórczej nie potrzebny jest bezpośredni udział w kształtowanej w dzieło literackie tematyce, że wystarcza mu obserwacja, ale Kozikowski zbyt silnie sprowadza kwestię działań twórczych do spraw finansowo-mieszkaniowych. Naturalnie skandalem jest, jeśli osiadli tam pisarze nie mają mieszkań, jeśli stanowiska dla nich przeznaczone zagarniają inni itd. Speakerka w roli kierownika literackiego w teatrze jeleniogórskim stanowi curiosum, którego nie zmniejsza fakt, że zapisała się jako członek-kandydat do Oddziału ZZLP we Wrocławiu. Przede wszystkim Oddział ten przyjmując ją popełnił nieformalność przez nieprzestrzeganie zasady podziału terytorialnego, a poza tym dał się zwyczajnie nabrać. Kozikowski domaga się podtrzymania miesięcznika „*Śląsk*" oraz wskrzeszenia tygodnika. „*Śląsk*" powinien wychodzić i należy mu pomóc, ale tygodnik „*Wałbrzych*" nie zdał egzaminu i przyniósł rozczarowanie. Środowisko literackie nie podołało obowiązkom, jakie nakłada pismo tego typu. Pretensje są więc nieuzasadnione. W prasie dolnośląskiej wyczytaliśmy wiadomość o ufundowaniu nagrody literackiej Jeleniej Góry za najlepsze dzieło „powstałe na ziemi jeleniogórskiej". Będzie, zdaje się, kłopot z przyznaniem tak adresowanej nagrody. I jesteśmy w błędnym kółku. Literaci nie piszą, bo skarżą się na brak pomocy i warunków, z drugiej zaś strony zainteresowania i pomocy nie ma, bo piszą za mało i domagają się długoterminowego kredytu. Wydaje się, że pisarze muszą przede wszystkim sami znaleźć drogę wyjścia z tego błędnego koła. Autor artykułu „Życie i praca pisarza polskiego" zna te sprawy doskonale. Pretensje Kozikowskiego w zestawieniu z mizernym dosyć „wyglądem" numeru specjalnego *Warszawy* wypełnionego przez literatów jeleniogórskich, rażą trochę swoją dysproporcją. Świadczą one raczej o niewielkich możliwościach środowiska.

A *Warszawa* pokazała przy tej okazji, jak daleko stoi od spraw kulturalnych wielkiej połaci Ziem Odzyskanych, jak dalece nie orientuje się w tym, co się tu dzieje i co można o tym napisać. *(ki)*

W jednym z ostatnich numerów „Odry" nasz sprawozdawca prasowy polemizował ze sprawozdawcą „Kuźnicy" w sprawie oceny „Odry", a oto co na ten sam temat pisze warszawskie „Słowo Powszechne" w numerze z dnia 26 września.

... Ale nie ten reportaż stanowi gwóźdź numeru, lecz skromna, bardzo skromna nadspodziewanie utarczka, schowana w rubryce „Wśród czasopism" na końcu numeru tzw. tradycyjnie szarym. To „polemika" a raczej daleki na nią projekt — z „Kuźnicą". Nie miałem sposobności wskutek letnich przerw zetknąć się z oceną trzyletniego terminu dziennikarskiego „Odry", dokonaną przez „ph" w „Kuźnicy". Odpiszę przeto interesujące miejsca z odpowiedzi — obrony „Odry", przedsięwziętej przez „ki..." „Byliśmy za mało ogólnopolscy, za mało propagowaliśmy na Ziemiach Odzyskanych literaturę polską i światową, byliśmy bardzo regionalni. Nie protestuję. Jest w tych zarzutach spora doza racji. Ale czy nie za dużo wymagań dla najszczuplejszego tygodnika w Polsce o określonej tematyce?... Może to był i błąd, ale „Odra" była pismem literackim dla ludzi interesujących się problematyką kulturalną Ziem Odzyskanych, sprawami niemieckimi i słowiańskimi. To znaczy, że szerzej orientujący się czytelnik musiał obok niej czytać drugie jeszcze pismo o szerszej problematyce artystycznej... Pisarze „Kuźnicy" terminują w szkole szeroko pojętego realizmu socjalistycznego, pisarze „Odry" terminowali w służbie pewnej konkretnej tematyki... Regionalizm? Był, zaprzeczyć się nie nie da, ale pisarze polscy nie pomogli „Odrze" niemal w niczym do jego rozsadzenia. Sprawy, które interesować winny były całą Polskę, pozostawili siłom regionu. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że był region dosyć szeroki; od Olsztyna i Szczecina przez Poznań i Wrocław wiódł dopiero do Katowic"...

Nie rozumiem dobrze intencji sprawozdawcy, bo te jego słowa są jednocześnie i próbą obrony, i potępieniem tego samego stanowiska. Jakaś gmatwanina. Nie ma się co kajać, bo się miało rację ponad wszelką wątpliwość. „Odra" była interesująca i ciekawa, bo poruszała tematykę i problematykę własną, naturalną, wynikającą z terenu jej działalności i z rozumnych oraz celowych założeń redakcji, służącej dobrze interesom Polski na zachodnich naszych ziemiach. Była to problematyka niemiecka, naturalna dla „Odry" wynikająca z najbliższego jej sąsiedztwa z Niemcami, jak i problematyka tutejszo - polska, zagrożona przez rewizjonizm z tamtej strony. Dobrze było, że się „Odra" ograniczała do tej miejscowej, problematyki, bo nikt w Polsce poza „Odrą" nie mógł jej lepiej od niej traktować. Dobrze również się działo, że nie próbowała rozprawiać na tematy, do których o wiele, wiele, gorzej była przygotowana od „Kuźnicy" czy „Odrodzenia". Podział ról i zadań był dotychczas dobrze rozplanowany i realizowany. Zasługą tego pisma, nie zaś jakąś winą było, że nie chciało umieszczać artykułów o charakterze ogólnokrajowym. Że był regionalizm? Więc cóż z tego? Czy to jakaś zbrodnia kulturalna? Wprost przeciwnie, to zasługa i to duża zasługa tego pisma.

Dostrzega się kapitulancką nutę w „obronie" p. „ki". Największej w czasie przeszłym, którego używa przy charakterystyce pracy współprocowników „Odry". Czyż by to miało być zapowiedzią zmiany linii tego pisma? w tej chwili pożytecznego? Jeżeliby się to miało stać, mielibyśmy nową, „Kuźnicę" czy nowe „Odrodzenie". Nie byłoby wtedy „Odry", choćby się tak nadal nazywać chciała.

W następnym numerze:

Egon Naganowski

Edmund Osmańczyk

Rafał Urban

i inni.

Mieczysław Zydler

(Dokończenie ze str. 3)

szubską, gdyż znajduje ona w Pańskiej twórczości dużo miejsca.

— W kaszubskiej wiosce, czasami cichej i sennej, czasami zaś wichrami sztormowymi targanej i drżącej od wściekłych, zimowych ataków morza, z dala od miast i ich nerwowego życia — było mi zawsze najlepiej. Spędzałem tam rok rocznie kilka miesięcy, mieszkałem tam nawet w zimie. Poznałem wieś kaszubską — mam wrażenie — nienajgorzej, z Kaszubami — rybakami udało mi się zżyć, pozyskać ich zaufanie i życzliwość. Nic dziwnego, że pokochałem tych twardych ludzi ze wszystkimi ich zaletami i wadami. Niemniej jednak nie jestem takim znawcą kaszubszczyzny, jak na przykład Brunon Richert lub Leon Roppel, którzy sami do tego wartościowego ludu należą. Owocem tej mojej zażyłości z nadmorskimi Kaszubami jest książka „*Gdzie szumi Bałtyk*", niemal w całości powstała z tych materiałów, których część ocalała mi z wojny, opracowanych jednak ponownie i uzupełnionych. Mam pewien sentyment do tej pracy, z którą wiążą się wspomnienia lat spędzonych w Karwi, lat długich, lat dobrych. Dotychczas praca ta nie została wydana, pomimo, że mam umowę podpisaną już przed dwoma prawie laty, od aprobaty zaś Ministerstwa (powtórnej i pozytywnej), upłynęło już przeszło pół roku. Podobno ma się niebawem ukazać, jak przynajmniej mnie zapewnia nieśpieszny wydawca, Państwowe Wydawnictwa Szkolne.

— Czy „Morze woła", wydane tego roku, jest pierwszą Pańską książką?

— Zasadniczo — nie. Przed wojną wydałem małą pracę p .t. „*Urlop na wodzie*", opisującą żeglugę śródlądową i morską przybrzeżną. Większą i zasadniczą książką jest dopiero dla mnie „Morze woła". O ile udały mi się w niej pewne zamierzenia literackie, to rzecz krytyki, nie moja. Cieszy mnie jednak to, że jak na razie, krytyka ta jest pozytywna, a przede wszystkim, że dzieło to uzyskało rzeczową opinię tych, którzy na sprawach morza najlepiej się znają, to znaczy u marynarzy. Mówiąc to mam na myśli sierpniowy numer „Marynarza Polskiego", recenzującego moją książkę.

— Jakie są, według Pana, powody, że marynistyka polska nie może się należycie rozwinąć?

— Moim zdaniem są bardzo zwyczajne: pochłaniająca cały czas i wszystkie myśli ciężka walka o byt, praca w zawodach od literatury dalekich. Za inną przyczynę, niemniej ważną, uważam brak bezpośredniego, prawdziwego i niekłamanego związku pisarza z morzem i ludźmi, którzy z morzem żyją. Autor, który chce napisać książkę z życia niewielkiego frachtowca, musi mieć swobodę wyruszania na morze, kiedy zechce. Nadrabianie wyobraźnią, która w innych dziedzinach daje takie świetne wyniki, tutaj jest wręcz niedopuszczalne, prowadzi bowiem nieuchronnie do licznych błędów i karygodnych potknięć. Na żadną blagę nie ma tu miejsca. Wyskok pewnego śląskiego pisarza, który nie zadawszy sobie trudu zapoznania się z materiałem napisał do czytanki dla młodzieży o naszym dzielnym, niezapomnianym „Wichrze", stek potwornych głupstw, wyssanych z palca, oburzył marynarzy do głębi. Są przecież u nas tacy, którzy się na „Wichrze" krwawili i na pewno nie zasłużyli sobie na podobną nonszalancję... Na takie dowolności pisarz nie powinien sobie pozwolić. Autor, który chce pisać o pracy marynarzy czy rybaków nadmorskich, powinien wśród nich zamieszkać, choćby na krótki okres czasu, musi dzielić ich troski i radości.

Oto zaledwie garść tych przyczyn, które tamują rozwój naszej marynistyki. Jest ich naturalnie o wiele więcej. Byłoby dobrze, gdyby na ten temat wypowiedzieli się inni nasi maryniści.

— A Pańskie plany literackie na przyszłość?

— Wspomnę tylko o tych, które uważam za możliwe do zrealizowania. Wśród papierów, odgrzebanych w piwnicy, po wyzwoleniu Warszawy, znalazło się nieco materiału wojenno-morskiego. Posłużyłem się nim jako pomysłem i częściowo surowcem przy pisaniu książki, której ostatnie rozdziały właśnie szlifuję. Ma tytuł „*Na morskim widnokręgu Rzeczpospolitej*" i charakter nie beletrystyczny, lecz informacyjno-propagandowy, ze szczególnym uwzględnieniem naszych obecnych warunków geo-politycznych. Nad pracą tą, pisaną słowem jasnym i prostym, ślęczę już od 10 miesięcy. Idzie mi mozolnie z powodu niezgodności źródeł polskich, amerykańskich, angielskich i szwedzkich. Najbliższe prawdy są źródła radzieckie, ale bardzo wstrzemięźliwe i trudne do zdobycia.

Po „Widnokręgu morskim Rzeczpospolitej", na który już wkrótce zacznę szukać wydawcy, zamierzam przygotować do druku wybór opowiadań i nowel, tym razem przeważnie nie na tematy morskie. Na dalszą przyszłość opuśćmy zasłonę! Kto wie, czy zamiast pisać, nie będę musiał powrócić do sprzedaży „Triumfów". Dochody z mojej budki spadły w ostatnich miesiącach wręcz katastrofalnie. Wiadomo: „pańskie oko konia tuczy".

Rozmowę przeprowadził

Stanisław Telega

Por. dotąd opublikowane na tym miejscu rozmowy Stan. Telegi z Stanisławem M. Salińskim, Janem Papugą, Jerzym Bohdanem Rychlińskim i Mieczysławem Jarasławskim.

Nowi szczeciniacy



Jerzy Andrzejewski, którego doskonała nagrodzona powieść „Popiół i diament", przerobiona przez Tadeusza Byrskiego na scenę ukaże się po raz pierwszy w Teatrze Ziemi Opolskiej, osiadł w Szczecinie.



Szczeciński Urząd Mieszkaniowy zanotował w swych księgach ewidencyjnych imię i nazwisko nowego stałego mieszkańca miasta — Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, znakomitego autora „Zaczarowanej dorożki".

Krótkie spięcia

„Rosbicie"

W związku z walką z analfabetyzmem Związek Zawodowy Pracowników Instytucji Społecznych w Katowicach wydał niedawno następujący okólnik:

„Związek Zawodowy Pracowników Instytucji Społeczn.

Zarząd Okręgowy

Do wszystkich Oddziałów i Kół Zw. Zaw. Prac. Instyt. Społ. na terenie Woj. Śl.-Dąbrowskiego

Celem należytego zaplanowania i przygotowania środków walki z analfabetyzmem — Zarząd Okręgowy poleca przestąpić natychmiast do ustalenia liczby analfabetów wzgl analfabetów wtórnych członków tamt. Oddziału (Koła).

Szczególną uwagę należy zwrócić na tereny Ziem Odzyskanych, gdzie występuje słaba znajomość języka polskiego u naszej ludności. Ludzi takich należy uwzględnić w nadesłanym wykazie liczbowym.

Zwracamy przy tym uwagę że ludzie są nafzwyczaj czuli na tym punkcie i jeżeji Zarząd podejrzewa swego członka o analfabetyzm nie należy mu o tym mówić i nie użawać słowa analfabetyzm, lecz zastąpić innym określeniem które nie razi jego uczuć i ambicji.

W każdym bądź razie rejestrację należy przeprowadzić bez rozgłosu, lecz konsekwentnie.

Należy pamiętać, że do analfabetyzmu ciężko si przykro się przyznać jednak usunięcie go — naskutek przeszkolenia — może stworzyć tym członkom naszego Związku warunki do awansów i poprawy bytu osobistego.

Spis imienny należy pozostawić w aktach Oddziału (Koła) Zarządowi Okręgu przesłać dane cyfrowe z rosbiciem na mężczyzn i kobiety.

Za wykonanie powyszego w terminie czyni się odpowiedzialnych Przewodniczącego i Sekretarza wzgl. Delegata.

Za Zarząd Okręgu itd."

Ponieważ należy pamiętać, że do analfabetyzmu ciężko si przykro się przyznać, że ludzie są nafzwyczaj czuli na tym punkcie i że jeżeji nie należy o tym mówić i nie użawać słowa analfabetyzm, lecz zastąpić innym określeniem, które nie razi uczuć i ambicji — więc i tutaj nie użyjemy słowa analfabetyzm.

Niemniej jednak stwierdzamy, iż jest to swego rodzaju skandalem, jeżeli okólnik w sprawie zwalczania analfabetyzmu zawiera aż tyle byków (obojętnie zawinionych czy nie zawinionych) ortograficznych i językowych czy poważne braki w interpunkcji.

To jedno.

Drugie zaś, to pokorna prośba pod adresem Zarządu Okręgowego Zw. Zaw. Prac. Inst. Społecznych:

— Nie rosbijajcie nigdy danych cyfrowych na mężczyzn i kobiety! Dane cyfrowe nie posiadają płci i będą z powodu tego rosbicia niesłychanie nieszczęśliwe! I co biedaczki zrobią jeżeli je się rosbije na mężczyzn i kobiety...? Co? Aż strach pomyśleć...

Niejaki X.

Sejm historyków polskich

we Wrocławiu

W dniach od 19 do 22 września obradował we Wrocławiu VII Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Po kilkunastoletniej przerwie zebrało się we Wrocławiu przeszło pół tysiąca polskich historyków, aby dokonać przeglądu dotychczasowego dorobku, zanalizować potrzeby i zadania, aby nakreślić a przynajmniej w dyskusjach zarysować zasadnicze linie, po jakich pójść będzie trzeba w dalszych naukowych badaniach. Poza pracownikami naukowymi, począwszy od seniorów naszej historiografii z prof. Bujakiem i Rutkowskim na czele a na najmłodszych skończywszy, w zjeździe wzięła udział liczna grupa studiującej historię młodzieży uniwersyteckiej i to nie tylko z Wrocławia, ale i z najodleglejszych nawet ośrodków. — Uczestniczyli też w zjeździe nauczyciele szkół średnich, delegowani przez Ministerstwo Oświaty. Przybyli na zjazd i brali żywy udział w jego pracach historycy radzieccy i czescy.

Zjazd zagaił i przewodniczył jego obradom prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, niezmordowany, zawsze i wszędzie obecny, zawsze pogodny, profesor dr Jan Dąbrowski. Imieniem rządu przywitał uczestników i nakreślił zasadnicze zadania stojące w obecnej chwili przed historykami polskimi minister Oświaty dr Skrzeszewski. W obradach zjazdowych przez cały czas brał udział wiceminister Oświaty dr Jabłoński.

Obrady zjazdu odbywały się w posiedzeniach plenarnych i w licznych zebraniach 6 sekcji, na jakie zjazd został podzielony. Obrady plenarne odbywały się w pięknej, niedawno po zniszczeniach odnowionej auli uniwersytetu, posiedzenia sekcji rozrzucone zostały po różnych salach trzech uniwersyteckich budynków, niedaleko od siebie położonych. Rozrzucenie to, połączone z przepełnieniem sal tak dalece, że nieraz nawet referenci mieli trudności dostania się do ich wnętrza, stwarzało pewne niedogodności (nieprzewidziane widocznie przez organizatorów) utrudniając a nawet w pewnej mierze uniemożliwiając uczestnictwo w posiedzeniach i wysłuchanie interesujących danego historyka referatów. A referatów tych było wiele, trzeba powiedzieć, że stanowczo za wiele. Za wiele nie tylko z punktu widzenia uczestników, stawianych często wobec konieczności zrezygnowania z bardzo interesującego referatu na korzyść innego, wygłaszanego równocześnie, ale również i z punktu widzenia celowości i owocności obrad i możliwości należycie gruntownej dyskusji. Bo wygłoszono razem około 70 referatów, nie licząc bardzo również licznych koreferatów.

Nie miałoby oczywiście sensu wymieniać tutaj tytułów wszystkich wygłoszonych referatów, czy omawiać związanych z nimi dyskusji. Trzeba będzie ograniczyć się tylko do scharakteryzowania zasadniczej, najistotniejszej tematyki. W pewnej mierze wyznaczały, symbolizowały ją referaty, wygłoszone na posiedzeniach plenarnych. Na pierwszym, inauguracyjnym posiedzeniu wygłosił odczyt prof. Kieniewicz na temat wkładu Polski w rewolucję europejską 1848 roku. Tak ten referat jak i szereg innych, wygłaszanych na poświęconej specjalnie „wiośnie ludów" Sekcji III Zjazdu, były nie tylko formą historycznego uczczenia rocznicy ważnego w dziejach ludzkości wydarzenia. Były one równocześnie świadectwem roli, jaką ma do spełnienia historia i historycy w aktualnym życiu narodu, roli polegającej na wiązaniu życia współczesnego z wydarzeniami i ideami przeszłości. Wygłoszone w tej sekcji referaty mówiły głównie o sprawach polskich „wiosny ludów", przypominały rolę, jaką w rewolucji 1848 roku odegrali Polacy, tak na swej własnej ziemi jak i na obczyźnie służąc idei, która stworzyć pragnęła wszystkim ludziom lepsze jutro. Przypomniano i podkreślono mocno, że w dążeniu do rewolucyjnej przebudowy ówczesnego świata spotkali się w jednym szeregu ludzie różnych narodowości. Szczególnie mocno podkreślono przy tym współpracę w tej dziedzinie Słowian.

Problem ten, problem współdziałania w obrębie Słowiańszczyzny, znalazł silne uwzględnienie również w innych referatach, nie związanych z „wiosną ludów". Poświęcono mu wiele uwagi w obradach Sekcji II, zajmującej się dziejami Słowiańszczyzny. Na pierwsze miejsce wysunęły się tu zagadnienia stosunków polsko-rosyjskich i polsko-czeskich. W tej dziedzinie niezależnie od szeregu konkretnych danych, charakteryzujących nasze stosunki ze słowiańskimi sąsiadami ze wschodu i zachodu, podkreślono mocno duże zaniedbania naszej historiologii odnośnie tych spraw.

Ponadto za bardzo ważny dorobek dyskusji w tej dziedzinie, dorobek wniesiony w pierwszym rzędzie przez naszych gości radzieckich, należy uznać stwierdzenie, że trzeba mówić nie tyle o współdziałaniu z sobą narodów jako pewnych całości, co raczej tych ich części, które reprezentowały dążenia postępowe, rewolucyjne. Bo te tylko się liczą jako pozytywny czynnik rozwoju dziejowego, jeżeli na dzieje ludzkości patrzymy jako na walkę o uzyskanie coraz lepszych, doskonalszych warunków życia dla wszystkich ludzi. Oczywiście, że problem ten nie zamyka się w obrębie narodów słowiańskich, ale przekracza wszelkie granice narodowościowe.

Problem ten został szczególnie ciekawie, jakby przykładowo naświetlony m. in. w dyskusji stoczonej na sekcji poświęconej rewolucji roku 1848 między młodym uczonym radzieckim Udalcowem a profesorem czeskim Macurkiem. Uczony czeski polemizując z wywodami polskiego referenta na temat niechętnego stosunku Czechów do Polaków w tym czasie, starał się usprawiedliwić postępowanie tej części narodu czeskiego z Palackym na czele, która dążyła do utrzymania monarchii austro-węgierskiej. W postępowaniu tym widzi prof. Macurek jedynie świadomą taktykę, mającą na celu uśpienie czujności rządu austriackiego celem przeprowadzenia zasadniczych narodowych postulatów czeskich. Uczony radziecki z dużą znajomością tego okresu czeskich dziejów wykazywał, że Palacky i jego obóz szli na rękę tym siłom, które starały się zahamować dążenia rewolucyjne najbardziej postępowych czeskich żywiołów, dążących do przebudowy stosunków społeczno - gospodarczych. I w nich, w tych zwalczanych przez Palackiego żywiołach, miał sprzymierzeńców naród polski i inne, walczące o zasadniczą zmianę stosunków. Zwycięstwo w tej dyskusji należało niewątpliwie do uczonego radzieckiego co — jak się zdaje — uznać musiał i prof. Macurek. Dyskusja ta była interesująca również z punktu widzenia sposobu dyskutowania obu uczonych. Pełnym temperamentu wypowiedziom Czecha przeciwstawiła się chłodna, spokojna wypowiedź Rosjanina, który ustaliwszy najpierw w sposób precyzyjny pogląd swego przeciwnika, następnie z dużym przekonaniem dał wyraz swemu poglądowi.

Na ostatnim, końcowym posiedzeniu plenarnym wygłosił referat prof. Wojciechowski na temat: Bolesław Chrobry i kryzys stosunków polsko-niemieckich. Problem polsko-niemiecki, poruszony w tej prelekcji w odniesieniu do krótkiego fragmentu dziejów polskich, przewijał się mniej lub więcej wyraźnie przez cały szereg innych referatów i dyskusji. Tak w odczycie prof. Wojciechowskiego jak i w innych refefratach i dyskusjach brzmiał jednak mocniej, niż to może miało miejsce dotychczas, nowy ton. Oto podkreślając wyraźnie, że na przestrzeni całych naszych dziejów stosunki polsko-niemieckie stały przeważnie pod znakiem obrony naszej zagrożonej niepodległości i całości państwowej, starano się równocześnie wyodrębnić te niemieckie czynniki, które taki właśnie kierunek nadały polityce narodu niemieckiego wobec Polski.

Problem polsko-niemiecki dochodził ustawicznie do głosu zwłaszcza w obradach Sekcji I, poświęconej dziejom Śląska i Wielkiego Pomorza. W sekcji tej zwrócono uwagę również na problem polskich mieszkańców Ziem Odzyskanych, przy czym na szczególne podkreślenie zasługuje dyskusja, stoczona nad zagadnieniem budzenia się świadomości narodowej Mazurów oraz Górnoślązaków (ta dyskusja na Sekcji III). Problem ten postawiono w dużym stopniu na nowej podstawie głównie dzięki mocnemu podkreśleniu roli, jaką w procesie tym odegrały stosunki społeczno-gospodarcze tych czasów.

Wysunięty w jednym z referatów pomysł traktowania historii Ziem Odzyskanych jako całości i przedstawiony w związku z tym projekt podziału historii Ziem Odzyskanych spotkał się ze słuszną krytyką w toku dyskusji. Pomysł ten bowiem nie ma ani uzasadnienia historycznego ani nie wydaje się celowym z punktu widzenia dnia dzisiejszego. Wydaje się, że termin: Ziemie Odzyskane, wyrosły z niewątpliwej potrzeby pierwszych lat powojennych, zniknie już wkrótce z naszej terminologii ustępując miejsca historycznym terminom Śląska, Pomorza czy Ziemi Lubuskiej jako części składowych państwa polskiego w przeszłości i obecnie.

Trzeci referfat, wygłoszony na II plenarnym posiedzeniu, referat — powiedzmy to odrazu najbardziej zasadniczy — to prof. Arnolda: Zadania polskiej nauki historycznej po drugiej wojnie światowej. Temat tego referatu dotyczył niewątpliwie zagadnienia najistotniejszego, które nadawało zasadniczy ton całemu zjazdowi. Prof. Arnold dał najpierw teoretyczny, szkicowy zarys zasad materializmu historycznego, a następnie na całym szeregu doskonale dobranych przykładów z naszych dziejów wykazał, jak ogromne horyzonty otwiera zastosowanie tej metody naukowej do badania naszej przeszłości. Wynikający stąd wniosek konieczności oparcia na tej właśnie metodzie dalszych badań naukowych w dziedzinie historii przewijał się mniej lub więcej wyraźnie w obradach całego Zjazdu. Od strony teoretycznej rozważano ten problem głównie na Sekcji V (Polska nauka historyczna po drugiej wojnie światowej), — od strony praktycznej zaś przede wszystkim w obradach Sekcji IV, omawiającej genezę współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego, gdzie cały szereg referatów przedstawiał wyniki badań naukowych w oparciu o nowe metody badawcze.

Bodajże jednak najważniejsze tak dla charakterystyki całego zjazdu jak i dla przyszłych losów naszej historiografii było to, że na tle tych teoretycznych rozważań i zreferowania wyników nowych metod badawczych, w toku całej dyskusji zjazdowej przebijało się mniej lub więcej wyraźne, lepiej czy gorzej uświadomione dążenie do spojrzenia na naszą przeszłość z nowego punktu widzenia, uwzględniającego w pierwszym rzędzie podłoże społeczno-gospodarcze procesów dziejowych. Potrzeby i ważności pracy w tym kierunku nie kwestionował na tym zjeździe żaden historyk. Stwierdzając w wielu dziedzinach (najmocniej w historii gospodarczej) istnienie braków i luk, wynikających przede wszystkim z niedoskonałości, niepełności stosowanych dotychczas metod badawczych, wysuwano stąd naturalny wniosek gruntownych zmian w tej dziedzinie. Dała temu wyraz również jedna z rezolucji zjazdowych, stwierdzająca konieczność oparcia dalszych badań historycznych o najnowocześniejsze metody naukowe. Kropkę nad i postawiła rezolucja zawiązanego w czasie Zjazdu grona historyków — marksistów, wskazująca, że metodą tą jest materializm historyczny.

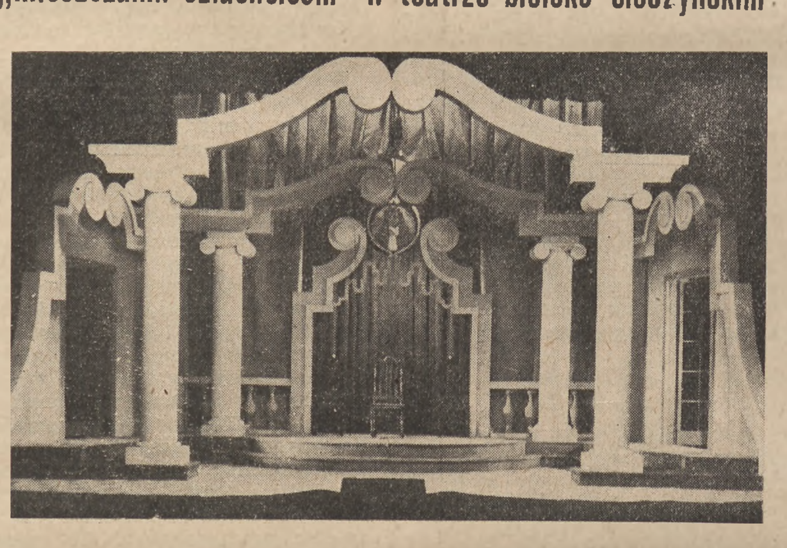
Naszkicowana w tym artykule charakterystyka VII Zjazdu Historyków Polskich nie oddaje ani w części całego bogactwa tematyki, — dokonane tu uszeregowanie zagadnień nie odpowiada faktycznemu układowi poszczególnych referatów w obradach sekcyj. Chodziło jednak o to, aby wydobyć pewne zasadnicze linie, wokół których obracały się obrady. Pominięto w tej charakterystyce niewątpliwie wiele godnych zanotowania faktów (np. choćby przebieg obrad podsekcji historii wychowania), co jest w pewnej mierze wynikiem tego, że uwagi te pochodzą od uczestnika Zjazdu, który tylko w pewnej części obrad mógł brać bezpośredni udział.

Zamykając po czterech pracowitych dniach obrady Zjazdu prof. Dąbrowski podkreślił harmonię, w jakiej przez cały czas toczyły się dyskusje. Stwierdzenie to wydobyło jedną z najistotniejszych, narzucających się każdemu uczestnikowi, cech tego Zjazdu. Bo przy dużej, nieraz zasadniczej różnicy poglądów na poszczególne sprawy i problemy, przy bardzo żywej niejednokrotnie wymianie zdań, wyczuwało się wszędzie i stale obecność pewnych wspólnych, górujących nad wszystkim elementów. Jeden z nich tu uznanie ogromnej wagi dotychczasowego dorobku naszej nauki historycznej zarówno dla wyjaśnienia naszej narodowej przeszłości jak i jako podstawy dla dalszych, o nowe metody opartych badań. Wagę tego dorobku podkreślali z naciskiem i ci, którzy jak najbardziej krytycznie oceniali dotychczasowe metody badawsze w poszczególnych dziedzinach. Drugi łączący element to wspólna wszystkim uczestnikom zjazdu świadomość konieczności dokonania rewizji naszych poglądów na bardzo wiele spraw, w oparciu o nowe metody badawcze.

Żaden z dotychczasowych zjazdów historyków polskich nie stawiał przed nimi tak zasadniczych, rewolucyjnych w dużej mierze, zadań. Konieczność ich realizacji odczuwali i rozumieli wszyscy zebrani na zjeździe przedstawiciele naszej nauki historycznej. I dlatego niewątpliwie VII Kongres Historyków Polskich we Wrocławiu wejdzie w historię polskiej historiografii jako wydarzenie o przełomowym znaczeniu.

Kazimierz Popiołek

„Mieszczanin szlachcicem" w teatrze bielsko-cieszyńskim



Feliks Kassowski: dekoracja do „Mieszczanina szlachcicem"

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08
R 18263